

**WSPOMNIENIA KAZIMIERZA I ANTONINY SIDOROWICZ
Z D. TUROWSKA ZE WSI DOMINOPOL W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI
NA WOŁYNIU 1930 - 1944**

Nazywam się Antonina Sidorowicz, mam 87 lat i mieszkam w kolonii Siedliska 115, gm. Zamość, powiat Zamość, woj. Lubelskie. Urodziłam się w 1916 r. w sierpniu we wsi Dominopol, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński. Moja mama Maria z domu Zinkiewicz, a tato Aleksander Turowski. Dla Królestwa Niebieskiego narodziłam się w Kościele w Swojczowie [gm. Werba]. Rodzice wioząc mnie do chrztu świętego musieli brać specjalną przepustkę od wojska, które stało na moście. I wojny światowej nie pamiętam, znam ją tylko z opowieści.

Moja rodzinna wieś była prawie wyłącznie zamieszкана przez ludność polską, a mieszkało w niej około 300 rodzin, to była bardzo duża wieś. Rodzin ukraińskich było tylko dwie: Markiewiczze i Dubczuki. Było u nas często bardzo cicho i spokojnie, drewniane domki otoczone były sadami i ogrodami, w których było mnóstwo najróżniejszych kwiatów i drzew owocowych. Najlepiej zapamiętałam orginie i astry, a z drzew najwięcej było wiśni. Uroku dodawał i zapach rozsiewał bez: biały, niebieski i czerwony. Było u nas bardzo pięknie, od strony północnej, od Świnarzyna rósł piękny las, tam chodziliśmy często całymi rodzinami na grzyby, zbieraliśmy też chętnie orzechy laskowe, poziomki, czernice i jagody. Las był naszą wspólną wszystkich spiżarnią. Z kolei od strony południowej wiała się wolno rzeka Turia, a przy niej rozciągały się łąki i pastwiska. Często chodziłam tam ze swoimi koleżankami zbierać łąkowe kwiaty, pasło się tam wtedy dużo krów. W naszej rzece woda była czysta i zdrowa, żyło w niej dużo ryb, które chłopcy łapali na wędziska. Bardzo kochałam naszą wioskę, miałam tam wielu kolegów i koleżanek.

Gdy byłam dzieckiem, chodziłam do polskiej szkoły, która była w Dominopolu. Lubiałam chodzić do szkoły, gdyż było tam fajnie, nasi nauczyciele organizowali „Jaselka” oraz wiele innych przedstawień, w których aktorami byłyśmy my dzieci. Wiele razy widziałam te sztuki, nawet sama raz brałam udział w takim przedstawieniu i byłam wtedy za aniołka. Te lubiane przez dzieci przedstawienia organizowano przez cały rok, a przeważnie na Boże Narodzenie. Nasza szkoła była 4-klasowa i chodziły do niej nie tylko polskie dzieci ale także ukraińskie, przede wszystkim z Wołczaka. Wieś Wołczak [gm. Werba] była zamieszкана wyłącznie przez Ukraińców, wśród nich żyło tylko dwie polskie rodziny, jeden Polak nazywał się Buczak. Drugi gospodarz nazywał się Adam Mikulski lat ok. 70 oraz jego żona Helena lat 65, ich córka Józefa lat ok. 18 oraz nasz dobry przyjaciel Franciszek Mikulski. Miałam więc koleżanki i kolegów zarówno Polki jak i Ukrainki. Nasze dzieciństwo było nadzwyczaj zgodne i pełne miłości. Nie przypominam sobie dziś nawet jednego przypadku, choćby drobnej wrogości zrodzonej na tle różnic narodowościowych. Wielokrotnie bywałam w ukraińskich domach i nie pamiętam, aby ktoś wtedy mówił źle o Polsce i Polakach. Tak samo czułam się w Wołczaku, nikt nie robił Polakom przykrości. Pragnę podkreślić, że sytuacja ta nie uległa zmianie także w latach 30-tych, byłam już wtedy panienką, ale w naszych wzajemnych odniesieniach nic się nie zmieniło, nadal było spokojnie.

Moja rodzina była wyznania rzymskokatolickiego i na msze święte chodziliśmy do kościoła w Swojczowie, który był bardzo niedaleko, tylko 4 km od naszej wsi. Najczęściej chodziliśmy przez kolonię Piński Most [gm. Werba], a dalej przez niemiecką kolonię Wandywola. Kiedy Niemcy opuścili ją jeszcze przed II wojną światową zamieszkali w niej zarówno Polacy jak i Ukraińcy. Nasza świątynia była bardzo piękna, murowana dookoła obsadzona lipami. W ołtarzu głównym znajdował się łaskami słynący Obraz Matki Bożej Swojczowskiej. Pamiętam jak na rozpoczęcie mszy świętej obraz był odsłaniany, a po zakończeniu zasłaniany. W tym kościele przystąpiłam po raz pierwszy do I Komunii Świętej, to było bardzo niezwykle przeżycie, jak każde dziecko lubiałam słodczyce, dlatego bardzo

dobrze zapamiętałam, jak po naszej uroczystości, nasz ksiądz zaprosił wszystkie dzieci do ogródka, który był tuż obok plebani. Gdy tam przyszedłam, ujrzałam wiele stołów, a na nich ciasto i gorąca herbata, a wszystko było przygotowane z myślą o mnie i o innych dzieciach pierwszokomunijnych. Bardzo mi się to wtedy podobało.

SZCZĘŚLIWE OKRUCHY MŁODOŚCI

Niedługo później, miałam wtedy zaledwie 8 lat bardzo wiele razy brałam udział w świątecznych procesjach dookoła naszej świątyni, będąc w białej pięknej sukience, którą sprawili mi rodzice. Szłam razem z innymi dziećmi i gęsto sypałam kwiatki przed krocącym w Najświętszym Sakramencie Panem Jezusem. Pamiętam, że na bierzmowanie wybrałam sobie imię Maria, bo tak miała na imię moja kochana mamusia. Przyjechał wtedy do nas ks. Biskup, a cała uroczystość była bardzo piękna. Właściwie wszystkie święta bardzo mi się podobały, do dziś szczególnie dobrze zapamiętałam odpust w Swojczowie, ku czci Matki Bożej Siewnej, który wypadał każdego roku 08 września. W tym dniu do kościoła zjeżdżało się bardzo wielu ludzi z wszystkich stron naszej dużej parafii, a nawet przyjeżdżali ludzie nieraz z bardzo odległych stron. Gośćmi było także wielu księży. W tym dniu zawsze była bardzo uroczysta procesja dookoła naszej świątyni, chodziliśmy dwa albo trzy razy.

Prawdziwą atrakcją był jarmark, który zawsze towarzyszył tak wielkim uroczystościom, a można tam było kupić przeróżne drobiazgi, raj dla dzieci. Szczególnym zainteresowaniem cieszyła się karuzela, duża i piękna karuzela. Na zawieszonych łańcuchach pomykały żwawo gipsowe i drewniane koniki, malowane w najróżniejsze barwy, wyglądały jak żywe. W środku byli ludzie, którzy kręcili karuzelą oraz orkiestra złożona z kilku muzyków, aby wszystkim było miło i wesoło. Wspomina pan Kazimierz: „Znałem osobiście kierownika tej orkiestry, Ukraińca ze Rzewuski o imieniu Pieter, grał na Barytynie – dęta trąba. Razem było ich ośmiu muzyków. Inną znaną i lubianą w naszych stronach grupą muzyczną była polska kapela, pochodząca z polskiej kolonii Czesnówka. Było to kilku muzyków pochodzących z jednej rodziny, nazywali się Struś i często grali na przeróżnych przyjęciach w Swojczowie i w okolicach.

Pod czułą opieką Matki Bożej Swojczowskiej, życie religijne rozkwitało także w naszej wiosce, pamiętam jak bardzo lubiliśmy śpiewać podczas różnych świąt najróżniejsze pieśni religijne i nie tylko. W maju chodziliśmy, tzn. ja i moje koleżanki: Feliksa i Stanisława Potockie oraz nasz kolega o nazwisku Wasilewski także pod figurę, aby śpiewać majówkę. Nasza figura stała na samym początku naszej wioski od strony zachodniej, od wsi Zarudle, tuż obok domu gajowego Ukraińca Władysława Czereniuka i jego żony Marii. To był piękny duży, drewniany krzyż, na którym zawieszony był Pan Jezus. Właśnie tam, przez cały maj każdego wieczora, radośnie śpiewaliśmy najróżniejsze pieśni ku czci Matki Bożej, bardzo ją kochaliśmy. Z kolei w Wielkim Poście, do naszego domu schodziło się wielu ludzi w każdym wieku i wspólnie z przejęciem śpiewaliśmy Gorzkie Żale oraz odprawialiśmy Drogę Krzyżową. Tak było niemal codziennie pamiętam, że bardzo lubiłam brać w tych spotkaniach czynny udział. Wierni naszej parafii chowani byli na cmentarzu w Swojczowie. Był stary i nowy cmentarz, na starym cmentarzu złożone zostały prochy moich dziadków ze strony mojego taty i mojej mamy. Natomiast dziadkowie mojego męża, pochowani są na cmentarzu we Włodzimierzu Wołyńskim.

Nie pamiętam, aby przed II wojną światową Ukraińcy śpiewali wrogie piosenki na Polaków, nie było między nami nawet jakiś sztucznych podziałów. Ludzie wspólnie i radośnie spędzali wolny czas, bawiąc się i śpiewając przy różnych sprzyjających okazjach, jak święta i uroczystości rodzinne, nawet zwykłe spotkania. Nawet klęska państwa polskiego we wrześniu 1939 nie miała praktycznie żadnego wpływu na zmianę tej sytuacji. Nie przypominam sobie żadnych aktów wrogości, także po przyjeździe Sowieców. Nie słyszałam, aby ktoś w tej ciężkiej dobie dla naszego narodu naśmiewał się z tego co stanowiło polskość.

Kiedy rozpoczęły się straszne wywózki na Sybir, z naszej wsi nikt nie pojechał bowiem przedstawicielem rady wiejskiej „prociadatiem”, utworzonej przez Sowietów zaraz po wejściu do Polski był Ukrainiec z Dominopola Dubczuk. To był bardzo dobry człowiek, który gdy Sowietci zadali mu pytanie: „*Jak tam u ciebie Polaczki dobre czy złe?*”, miał odpowiedzieć: „*U mnie nie ma kiepskich ludzi, wszyscy są dobrzy.*” Tę historię opowiedział mi osobiście Franciszek Mikulski z Zamościa, który mieszkał wcześniej w Wołczaku. Skąd on o tym wiedział? Pewnie opowiadali mu miejscowi ludzie. Podsumowując, za pierwszej okupacji sowieckiej nie było między nami jeszcze wrogości, nikt nie mówił jeszcze o mordach.

ROK PRZED ZAGŁADĄ

Czerwiec 1941 r. nie przyniósł większych zmian we wspólnym pożyciu Polaków i Ukraińców w naszej okolicy. Nie zauważyłam żadnych objawów radości u Ukraińców z powodu przyścia na nasze ziemie Niemców. 17 sierpnia 1941 r. wyszłam za mąż za Kazimierza Sidorowicza i zamieszkałam we wsi Smolarnia, gm. Werba. Jeszcze w 1942 r. nie słyszałam, aby Ukraińcy dopuścili się gdzieś napadu na Polakach, nie pamiętam choćby jednego aktu wrogości. W zimie 1942 r. do naszej wsi Smolarnia przyjechała rodzina ukraińska Stefana Maciochy, zamieszkała wcześniej we wsi Młyniska nad Bugiem [gm. Chotiaczów, pow. Włodzimierz Woł.]. Stefan i jego rodzony brat Iwan przesiedleni zostali na miejsce Niemców, którzy przeniesieni zostali w Poznańskie.

Kazimierz Sidorowicz: Niedługo później ja i Stefan Maciocha jechaliśmy razem furmanką do Włodzimierza Wołyńskiego. Wtedy zapytałam: „Stefan kiedy będzie wymiana Polaków z Ukraińcami?”, wtedy on tak na to odpowiedział: „*Wymiana będzie taka: jak ty będziesz silniejszy, to mnie zabijesz, a jak ja okażę się mocniejszy, to zabiję ciebie. Jednak ponieważ nic do ciebie nie mam, to cię nie zabiję.*”

Antonina Sidorowicz: Mąż opowiedział mi tę rozmowę zaraz po powrocie do domu. Od tej pory czuliśmy się już zagrożeni, nawet pomimo tego, że Smolarnia była właściwie wioską polską. Zaledwie kilka rodzin było ukraińskich. Tak więc już 1942 r. wiedziałam, że może dojść do pogromu Polaków i nie był to jedyny sygnał zbliżającego się ludobójstwa. Moja rodzona siostra Eugenia Turowska, opowiadała mi w Dominopolu, że rozmawiała w naszej wsi z radzieckimi partyzantami, którzy poinformowali ją, że Ukraińcy szykują się do mordowania Polaków. Gdy Eugenia i jej koleżanki stały koło swoich domów, Sowietci podeszli do nich i tak im powiedzieli: „*Ładne z was dziewczyny szkoda was, ale was wybiją Ukraińcy! My stąd uciekniemy, ale was wymordują!*” To było latem 1942 r. Ci partyzanci radzieccy przez pewien czas przebywali z partyzantami ukraińskimi i po tym co mówili oraz po tym co się później rzeczywiście wydarzyło w Dominopolu, można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że wiedzieli o planowanej rzezi już o wiele wcześniej. Moja siostra Eugenia opowiadała mi o tym osobiście w Dominopolu, gdy ze Smolarni poszłam tam odwiedzić swoich bliskich. Pamiętam także, że już od początku 1942 r., jeszcze od zimy, stały na drogach prowadzących do Dominopola warty ukraińskie [w rzeczywistości: ukraińskie warty były później, od roku 1943]. Jedna znajdowała się przy wiosce od strony Włodzimierza Wołyńskiego, a druga na moście, na rzece Turii. W tym czasie nie można już było chodzić do kościoła w Swojczowie, ani jechać do miasta do Włodzimierza, w ogóle nie puszczali. Tymczasem w naszej wiosce Smolarni nie było wart jeszcze przez cały rok 1942.

Kazimierz Sidorowicz: Moja rodzona siostra Ludwika Skawińska zamieszkała w Smolarni opowiadała mi, że latem 1942 r. miała następujący sen: „*Śnił mi się Pan Jezus, który leżał w trumnie nieżywy, a obok trumny stała duża miska krwi ludzkiej. Gdy się tak przyglądałam na to, nagle Pan Jezus obudził się i usiadł w trumnie. Spojrzał na mnie swoimi pięknymi ale smutnymi oczami i rzekł do mnie: „Jeśli się nie poprawicie w tym roku, to na przyszły rok wyniszczę was do szczętu.” I po tych słowach sen się zakończył!*” Moja siostra opowiadała mi to zaraz po wymordowaniu wsi Dominopol. Zobaczyła wtedy: „wielką dziwną

jasność", która szła od Swojczowa przez Smolarnię w kierunku Włodzimierza Wołyńskiego, ze wschodu na zachód." Właśnie wtedy pod wpływem ostatnich krwawych wydarzeń i tego, jakże dziwnego zjawiska: "Kroczącej tajemniczej Światłości", przypomniał jej się ten sen o mówiącym Panu Jezusie. Niedługo później ona sama, jej mąż i ich ośmioro małych dzieci, zostali także bardzo brutalnie wymordowani przez Ukraińców na ich własnym podwórzu.

PIERWSZE OFIARY BANDEROWCÓW

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Franciszek Mikulski opowiadał nam jeszcze we Włodzimierzu Wołyńskim, że jest mu wiadome, że Ukrainiec z Gnojna o nazwisku Komar zamordował polskiego oficera w stopniu porucznika, jeszcze we wrześniu 1939 r., właśnie w Gnojnie. Franciszek dowiedział się o tym od samego Ukraińca Komara, który był u niego zakwaterowany w domu, a wraz z nim wielu innych, także uzbrojonych partyzantów ukraińskich. Pewnego dnia do Komara w odwiedziny przyszedł inny banderowiec i widząc go w mundurze polskim, tak powiedział: „*O z ciebie ładny Polaczek, masz fajne ubranie Polaka.*” Wtedy Komar odpowiedział mu tak: „*W 1939 r. zabiłem Polaka porucznika i to jest jego odzienie!*” Komar powiedział to tak, że usłyszał wszystko Mikulski.

Antonina Sidorowicz: Moi rodzice mieli pole blisko wsi Piński Most. Mieszkali tam Polacy i Żydzi, Ukraińców nie było wcale. Pamiętam młodą Żydówkę Łejkę, była niewidoma, tak jak jej ojciec Szloma, czasami widywałam w naszej wsi jej matkę, która chandlowała cielętami na rzeź, byli to bardzo ubodzy Żydzi. Druga rodzina żydowska w Pińskim Moście nazywała się Abramek i to była rodzina dość zasobna. Znałam tam dziewczynę, która miała na imię Złotka. Latem 1942 r. Ukraińcy zabrali Żydów z tej wsi do pobliskiego lasu Świniarzyńskiego i tam ich pomordowali. Moja mama Maria Turowska opowiadała mi, że widziała na własne oczy jak prowadzili Żydów do lasu, którzy nieśli łopatki. Posłużyły im później do wykopania grobów dla siebie i swoich rodzin, razem zamordowano wtedy trzy rodziny żydowskie. Także pan Kazimierz Sidorowicz potwierdza, że Żydów z Pińskiego Mostu wystrzelała ukraińska policja z Gnojna, mówi tak: „*Mój szwagier Franciszek Iwanicki z Dominopola osobiście zaprowadził mnie na miejsce stracenia i pochówku. Pamiętam, że to było na brzegu lasu, widziałem też jeszcze świeżą ziemię. Franciszek powiedział wtedy do mnie na tym miejscu: „Tu policja ukraińska z Gnojna wyszła Żydów z naszej wsi i z Wandywoli.”*”, razem to było 3 rodziny żydowskie.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Od końca roku 1942, cały nasz pobyt na Wołyniu upływał w ustawicznym strachu przed śmiercią. Z jednej strony Niemcy wywozili ludzi na roboty, z drugiej coraz częściej powtarzające się pogłoski, mroźące krew w żyłach, a opowiadające jak bestialsko Ukraińcy mordują Polaków we wschodniej części Wołynia. I chociaż w naszych okolicach nie dochodziło do tak strasznych pogromów, jednak zarówno nasza rodzina jak i inni Polacy coraz częściej opuszczali swoje domy i na noc udawali się do prowizorycznych schronów i kryjówek. Częstym miejscem nocowania były także stodoły, stajnie, budynki gospodarcze różnego rodzaju, zboże na polach, kopice siana, ogrody i zwykłe krzaki. Czuliśmy się jak zaszczute zwierzęta, niepewne swego losu.

Kazimierz Sidorowicz: Pamiętam, że także od 1942 r. na drzwiach ukraińskich domów, ktoś kredą malował duży numer „102” [również w tym miejscu został błędnie podany czas wydarzenia. Znakowanie domów miało miejsce w 1943 r.]. Ten numer był chyba tajnym hasłem banderowców, ponieważ tego nie robili raczej na pewno Polacy. Poza tym uderzający jest fakt występowania tego znaku tylko na drzwiach rodzin ukraińskich, na drzwiach polskich domów już tego nie malowano. Dlatego także z tego powodu, Polacy między sobą cicho powtarzali, że tajemnicze "102" to tajny znak bandy UPA, który na pewno nie wróży nic dobrego. Znaków tych nie było w Dominopolu i Smolarni, to wyszło z Kohylna. Opowiadał mi to Michał Roch, któremu opowiadał Stanisław Roch, rodzony brat Michała. Józefa żona Stanisława Rocha widząc liczne numery "102" malowane na domach, bardzo się zaniepokoiła i spotykając znajomego Ukraińca z Kohylna, płacząc, zaczęła tak się do niego żalić w głos:

"Coś niedobrego się dzieje, skoro drzwi ukraińskich domów są oznakowane dziwnym numerem: "102", a polskie nie. To zaczyna się widać jakaś różnica!" Wtedy ten Ukrainiec uspokajając Józefę rzekł do niej tak: "Józia to ty napisz i na swoich drzwiach, w ten sam sposób."

POLSKO-UKRAIŃSKA WSPÓLPRACA

Antonina Sidorowicz: Moi rodzice Maria i Aleksander Turowscy, rodzone siostry: Ewa, Anna, Eugenia oraz ciocia Katarzyna Majewska, jeszcze za życia opowiadały mi, że już w 1942 r. Ukraińcy przejeżdżając przez naszą wieś [Dominopol] głośno śpiewali piosenkę tej treści: „*Smert, smert Żydam i Lacham oraz moskiewskiej komunie.*” Oni jechali najczęściej do lasu Świnarzyńskiego, gdzie mieścił się ich sztab UPA. Od wiosny 1943 r. partyzanci ukraińscy kwaterowali także w szkole w Dominopolu oraz w prywatnych mieszkaniach wielu Polaków w naszej wsi. Ludzie miejscowi mówili, że te duże wojska ukraińskie przyjechały gdzieś od strony Lwowa. Pamiętam, że mówiono o 2 tysiącach wojaków, a może nawet więcej. Polskie rodziny karmiły ich, prały rzeczy i kwaterowały, były przy tym solennie zapewniane, że między nami będzie pokój i sojusz przeciw Niemcom. Opowiadano mi także, że już w lecie 1942 r. [w tym czasie Ukraińcy nie byli jeszcze dostatecznie zorganizowani, by wciągnąć Polaków do wspólnej partyzantki. Werbunek ten miał miejsce od wiosny 1943 r.] Ukraińcy ogłosili publicznie wezwanie, skierowane przede wszystkim do młodych, silnych Polaków zamieszkałych w naszej okolicy, aby chętnie wstępować do polsko-ukraińskiej partyzantki. Przyjeżdżali nawet osobiście furmankami do polskich domów i zabierali wybranych mężczyzn mówiąc: „*Będziemy razem wojować, nie pójdziemy tak jak Żydzi do dołu!*” Większość z tych mężczyzn została później zamordowana. Zanim się to stało wielu spekulowało, że Ukraińcy mogą wszystkich zamordować, jednak w sercach Polacy nie sądzili, że coś takiego może się jednak wydarzyć. A jednak doszło do najgorszego, zginęli nie tylko prawie wszyscy żołnierze ze wspomnianego oddziału, ich liczba miała dochodzić do 120. Wymordowana została także w bestialski sposób prawie cała moja wieś, w tym moi najbliżsi.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Był jeszcze inny, bardzo bolesny cios, który wymierzony był w polską ludność: otóż w tamtych czasach Ukraińcy bardzo często wzywali Polaków, aby stawiali się z furmankami i końmi na forszpan, właściwie kto pojechał, już więcej nikt o nim nie słyszał. Ludzie z drzeniem opowiadali sobie, że Ukraińcy prawie na pewno wszystkich skrytobójczo mordują. Mój brat Adam Turowski i jeszcze trzech innych gospodarzy z Dominopola, pewnego razu też pojechali wezwani przez Ukraińców, którzy po nich przyjechali do naszej wsi. Opowiadał mi o tym osobiście Marcel Mikulski. Od tej pory ślad po nich i koniach zaginął.

Kazimierz Sidorowicz: Zanim jednak do tego doszło, latem 1943 r. miało miejsce dość znaczące wydarzenie, o którym Polacy opowiadali sobie z ust do ust w całej naszej okolicy. W Teresinie mieszkał Polak Terlecki, który pokłócił się w jakiejś prywatnej sprawie ze swoim szwagrem, który też był Polakiem i nazywał się chyba Ozga. Szwagier zgłosił do policji ukraińskiej, będącej w służbie niemieckiej, że Terlecki ma ukrytą broń. Zaraz Ukraińcy przyjechali w dzień na podwórko Terleckiego i zaczęli szukać przed bramą stodoły, tam gdzie Ozga im wskazał przypuszczalne jej miejsce ukrycia. Polak bronił się, że nic nie wie o zakopanej broni i nie przyznawał się do tego o co go oskarżali. Tymczasem Ukraińcy nic nie znaleźli poza szczątkami zdechłego psa i odjechali z niczym. Po jakimś czasie wrócili jednak ponownie, jeszcze raz odkopali szczątki psa i tym razem postanowili sprawdzić także pod nimi. Broń była ukryta właśnie tam. Po jej znalezieniu policjanci wzięli wóz Terleckiego i jego konie, a jego samego uwiązali powrozem za szyję do wozu i pociągnęli za sobą. Od tej pory słuch po nim wszelki zaginął, ludzie mówili że prawdopodobnie został wtedy zamordowany.

Kazimierz Sidorowicz: Na kilka godzin przed krwawą niedzielą 11 lipca 1943 r., nocą kilku uzbrojonych Ukraińców przyjechało furmanką do polskiej wsi Ludmiłopol. Zajeżdżali do polskich rodzin i powoływali silnych, młodych mężczyzn do polsko-ukraińskiej partyzantki, która formowała się w Dominopolu. Zabrali w ten sposób ze sobą kilku Polaków i pojechali w stronę Dominopola. Do celu jednak nie dotarli. Jeszcze tej samej nocy, Ukraińcy dojeżdżając do pierwszych domów wsi Zarudle, tuż obok gospodarstwa Polaka Żukowskiego, nagle niespodziewanie się zatrzymali i kazali zsiąść Polakom z furmanki. Gdy Polacy znaleźli się na łące, Ukraińcy zdradziecko otworzyli do nich ogień i wszystkich wystrzelali. Zginęli wtedy: Feliksiak Józef lat ok. 30, Szymański Henryk lat ok. 30. Puzio Franciszek lat ok. 30, a pozostałych nazwisk nie pamiętam. Jest mi także wiadome, że z domu zabierał polskich mężczyzn Ukrainiec Ostapczuk Pieter, także pochodzący z Ludmiłpola i on także ich potem rozstrzelał. Mordercy albo wcale nie kryli się ze swoją zbrodnią, albo zostali czymś spłoszeni, bo nie zdążyli ukryć ciał pomordowanych, którzy zostali znaleźieni nad ranem przy drodze, w miejscu ich rozstrzelania. Ofiary obrabowane zostały także częściowo z rzeczy, które miały na sobie. W miejsce mordu przychodziły potem żony ofiar i ich rodziny i dokonywali rozpoznania swoich chłopców. Wśród tych osób, była też żona Józefa Feliksiaka Antonina, która mi to wszystko później osobiście opowiedziała. Z tej grupy ocalał jeden chłop: Jarmuł Zygmunt, gdy jechał już furmanką z innymi na miejsce swego przeznaczenia, nadjechał rowerem znajomy Ukrainiec, który rozpoznał wśród mężczyzn Zygmunta, swego przyjaciela. Zawołał na Ukraińców i zatrzymał furmankę, następnie poprosił tylko Zygmunta na stronę. Gdy go odprowadził kawałek w bok, kazał mu uciekać, domyślał się bowiem, że Polacy jadą po śmierć. Parę dni później spotkałem osobiście, cudownie ocalonego Zygmunta, który opowiadał mi, że **znajomy Ukrainiec powiedział mu wtedy: "Musisz uciekać bo cię zabiją!"** Zygmunt nie wiele się zastanawiał, tylko rzucił się do ucieczki, inni odjechali furmanką dalej.

KRWAWA NIEDZIELA W DOMINOPOLU

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Od wiosny 1943 r. partyzanci ukraińscy kwaterowali w Dominopolu, w szkole i w wielu prywatnych mieszkaniach Polaków. Miejscowi ludzie opowiadali, że setki ukraińskich wojaków przyjechało z Galicji, gdzie od strony Lwowa na wiosnę 1943 r. Ukraińcy zapewniali wszystkich na lewo i prawo, że między nami będzie sojusz przeciw Niemcom, że będziemy razem walczyć, ramię w ramię o wspólną sprawę. Jak to potem wyglądało w rzeczywistości przekonaliśmy się 11 lipca w niedzielę. Mieszkańców Dominopola mordowali żołdaki ukraińskie spode Lwowa, chłopci z Kohylna i z Wołczaka.

Antonina Sidorowicz: Mój sąsiad z Dominopola Marcel Mikulski, który mieszkał tuż obok nas, zaledwie przez drogę, opowiadał mi i mężowi w 1944 r. w Siedliskach pod Zamościem tragiczne losy mieszkańców Dominopola. Pamiętam, że po raz pierwszy opowiadał nam o tym już we Włodzimierzcu w lipcu 1943 r., zaraz po pogromie, a potem jeszcze kilka razy po wojnie. Mówił tak: „*Już twoja rodzina nie żyje, moje dzieci też już nie żyją, wszyscy zostali zamordowani przez Ukraińców!*” Potem zaczął po kolei opowiadać przebieg wydarzeń. W nocy z 10 na 11 lipca cała rodzina Mikulskich była w domu. Była noc, matka Marcelego, która tej nocy z jakiegoś powodu nie spała zobaczyła na niebie czerwoną rakietę. Mocno zaniepokojona natychmiast obudziła swoje dzieci i wołała, aby wstawać i uciekać do stodoły, bo coś się zaczyna dziać. Marcel i jego żona Helena zdążyli uciec i schować się w stodole, z nimi ukryła się także matka. Tymczasem dzieci zostały w domu, bowiem rodzice nie chcieli budzić swoje pociechy. Wciąż nie wiedzieli co się naprawdę dzieje, dlatego nie zdawali sobie sprawy z powagi zagrożenia. Gdy tylko znaleźli się w stodole, zobaczyli biegających Ukraińców od domu do domu, którzy za chwilę trafili także na ich podwórko. Nie wiedzieli, że ich akcja jest obserwowana przez troje ludzi ukrytych w stodole i patrzących przez szpary. Ukraińcy zaczęli się gwałtownie dobijać do domu, krzyczeli przy tym: „*Otwieraj bo i tak nie uciekniesz. Jak nie otworzysz porąbimy drzwi!*”

Ponieważ nikt nie otwierał, włamali się do domu i bagnetami pokłuli dzieci Mikulskich. Zginęły wtedy: dwie dziewczynki lat około 12 i 10 oraz chłopiec lat około 8. Dzieci były pokłute w swoich łózkach, widać stąd, że przerażone tą sytuacją, nawet nie próbowały uciekać tylko pochowały się głębiej w pościel. Odchodzący zbrodniarze zostawili na stole bagnety wbite w blat stołu. Siedzący w stodole drżeli w tym czasie o życie swoich dzieci, po chwili zobaczyli trzech Ukraińców jak opuszczają ich dom i udają się do domu sąsiadów. Na szczęście nie szukali w stodole i nie podpalili zabudowań gospodarczych, Mikulscy nie zauważyli też, aby Ukraińcy zabrali cokolwiek z domu.

Marcel opowiadał dalej, że zaraz po odejściu bandytów matka Marcela poszła do domu i znalazła zakłute dzieci. Wróciła do stodoły i opowiedziała rodzicom co się wydarzyło. Po pewnym czasie Mikulscy opuścili stodołę i przenieśli się do ogrodu, gdzie ukryli się w grochu. Po pewnym czasie dostrzegli ponownie nadchodzących Ukraińców, którzy wykopali obok domu grób i wrzucili tam ciała dzieci. Marcel widział także, jak Ukraińcy zakopywali ciała ich sąsiadów Traczyńskich, też brutalnie pomordowanych wcześniej. Z ukrycia rozpoznał ciała Weroniki lat ok. 35 i Aleksandra lat ok. 40 Traczyńskich oraz dwie ich dorosłe córki: Eugenię lat ok. 16 oraz druga Felicja lat ok. 14. Mikulscy siedzieli w grochu cały dzień 11 lipca, całą niedzielę. Marcel poinformował mnie także, że słyszał nad ranem ukryty w grochu, dwa strzały dochodzące z obory Turowskich. Jednak nic poza tym nie widział i także później nie słyszał o śmierci mojej najbliższej rodziny, także ja do dziś nie wiem właściwie jak ich zamordowano. Do dziś nie wiem także gdzie pochowano moich rodziców i rodzeństwo oraz innych. Dopiero w nocy z 11 na 12 lipca wycofali się przez położone tam „betony” drogowe do drugiej wioski. O ile pamiętam Marcel opowiadał chyba, że uciekali na Zarudle, a potem do Włodzimierza Wołyńskiego.

Po wojnie spotkałam też pana Bronisława Kraszewskiego, który był moim bliskim sąsiadem w Dominopolu. Tej tragicznej nocy wracał ze wsi Wandywola i gdy już chciał przechodzić przez rzekę Turie, na moście stała bowiem warta ukraińska, z którą nie miał ochoty się widzieć, usłyszał strzały i mrozące krew w żyłach, straszne krzyki mordowanych ludzi. Powoli robiło się jasno, ukrył się więc w pobliskich zaroślach i obserwował uważnie wieś. Wtedy zobaczył, jak w gospodarstwie Ewy i Antoniego Turowskich, Ukraińcy wyprowadzają z domu do sadu rodziców: Ewę i Antoniego oraz ich troje dzieci. Następnie na jego oczach zaczęli ich po kolei mordować. Na początku zamordowali dzieci, a potem rodziców. Tak pobitych zostawili w sadzie.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Druga córka Wasilewskich, miała na imię Stanisława lat ok. 24, wyszła za mąż za Jana Szulakiewicza i mieszkali ok. 1 km od Dominopola, niedaleko ukraińskiej wioski Rewuszki. Marcel Mikulski opowiadał mi, że oni także zostali zamordowani, a było to tak: „W niedzielę 11 lipca w dzień, na podwórko Jana Szulakiewicza przyszli Ukraińcy i weszli do domu. Stanisława właśnie misiała ciasto, gdy Ukraińcy z miejsca zamordowali jej męża, wtedy ona postanowiła wyjść z domu na dwór. Jednak, gdy Ukraińcy zauważyli, że opuszcza dom zaczęli do niej strzelać i zabili ją w drzwiach jej domu.” Marcel Mikulski mówił mi i mężowi, że przebieg tych wydarzeń wie od sąsiada, który był tego naocznym świadkiem.

Kazimierz Sidorowicz : Leon Buczek, brat Kazimierza opowiadał mi po wojnie, że raniutko w poniedziałek na podwórko Bernackich przyjechało furmankami kilku uzbrojonych w automaty Ukraińców. W tym czasie Kazimierz Buczek siedział w stodole i wszystko widział przez szpary. Nocowali razem z żoną w stodole, gdyż bali się zostawać w domu. Raniutko, żona obudziła się, wstała i powiedziała do Kazika, że idzie zobaczyć, jak się działo w domu mają. Gdy była już na podwórku, właśnie nadjechali Ukraińcy i od razu, bez żadnego słowa zaczęli do niej strzelać, zabijając na miejscu. Kazimierz zauważył, że napastnicy mieli zamaskowane twarze chustami, aby nie można ich było rozpoznać. Tymczasem rodzice mocno zaniepokojeni tymi strzałami, wyszli z domu na dwór. Ukraińcy z kolei do nich otworzyli ogień i ich też zabili. Zginął wtedy dziadzio Bernacki lat ok. 50 i jego żona, babcia Bernacka lat ok. 50 oraz żona Kazimierza lat ok. 26 i chłopiec lat ok. 15. Syn Kazimierz

Bernacki był po pierwszym ojcu i dlatego nazywał się Buczek. Gdy Kazimierz poznał, jak Ukraińcy obeszlą się z jego najbliższą rodziną wyszedł na tyły stodoły i zaczął uciekać na łąki w krzaki, aby bliżej rzeki Turii. Jeden z bandytów dostrzegł go i zaczął gonić na koniu. Kazik uciekał co sił w nogach, Ukrainiec w swej gorliwości bezlitosnego mordowania Polaków chciał długim susem przeskoczyć przez rów. Tym razem jednak z woli Pana naszego przeliczył się i koń się zapadł, unieruchamiając jeźdźca na chwilę. Kazimierz to wykorzystał i przebił bandziora jego własnym bagnetem. Kazimierz opowiadał to później swojemu rodzonemu bratu Leonowi Buczek, a on opowiedział to mi.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Inny mieszkaniec Dominopola Jan Nowaczyński przeżył masakrę, bo zdążył ukryć się w schronie, w ogrodzie pod ziemią. Janek spotkał nas we Włodzimierzu Woł. niedługo po napadzie i zaczął opowiadać co się wydarzyło w Dominopolu, mówił tak: *„Tej nocy kiedy był napad moja rodzina Nowaczyńskich wraz ze mną nocowała w schronie, który znajdował się w ich ogrodzie, niedaleko rzeki Turii. W nocy usłyszałem strzały i przeraźliwe krzyki mordowanych ludzi w naszej wsi. Ponieważ nasz schron był dobrze zamaskowany, rósł na nim posadzony groch bandyci ukraińscy nie zdołali nas wykryć. Ja i moja żona oraz nasz syn Henryk lat ok. 10 widzieliśmy nawet wyraźnie nogi szukających nas oprawców banderowskich. Przeżeni tym co się działo dookoła nas, przesiedzieliśmy w tym schronie cicho cały dzień, słysząc co jakiś czas krzyki dobijanych ludzi. Dopiero nocą, gdy zrobiło się już dość ciemno i cicho wyszliśmy za schronu i przeszliśmy przez rzekę Turię na drugi brzeg, udając się ostrożnie w stronę polskiej wioski Władysławówki. Jan miał tam rodziców i rodzonych braci, którzy udzielili nam natychmiastowej pomocy. Stamtąd uciekliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego.”* Właśnie wtedy, przebywając w mieście spotkali nas i wszystko nam opowiedzieli. Jest nam wiadomo, że ocalona rodzina Nowaczyńskich po wojnie osiadła w Gdańsku, tam żyła, pracowała i tam odeszła już na wieczną wartę.

Inny naoczny świadek tej strasznej tragedii Franciszek Mikulski, tak opowiadał mi i memu mężowi Kazimierzowi po wojnie, w naszym domu w Siedliskach koło Zamościa: *„Jako młode i pełne życia chłopaki, ja Franciszek Mikulski, Jan Zawadzki i Sylwester Mokrecki bawiliśmy się w niedzielny wieczór na zabawie w Budach Ossowskich [gm. Turzysk, pow Kowel]. Kiedy po skończonej zabawie wracaliśmy nocą rowerami, już w poniedziałek 12 lipca do Dominopola, na drodze spotkaliśmy znajomego Ukraińca z Rzewuszek, który za pierwszej okupacji sowieckiej był znanym urzędnikiem sowieckim. Ostrzegł nas, abyśmy już nie wracali do swojej wsi, bowiem wszyscy mieszkańcy Dominopola zostali wymordowani z soboty na niedzielę przez Ukraińców. Powiedział do nas wtedy tak: „Nie jedźcie na Dominopol, bo tam już wszyscy zostali wymordowani!” Wtedy ja postanowiłem zawrócić z drogi i wróciłem z powrotem do swojej dziewczyny w Budkach Ossowskich, natomiast Mokrecki i Zawadzki nie dawali wiary słowom Ukraińca. Chcieli koniecznie zobaczyć, co tam właściwie się wydarzyło i pojechali dalej rowerami. Gdy przybliżyli się do wioski, spotkali Ukraińców, którzy ich zastrzelili. W jakiś czas później bandyci ukraińscy zamordowali także tego Ukraińca, który ostrzegł nas na drodze. Mord ten był zemstą, właśnie za ten dobry uczynek względem mnie i moich przyjaciół, tam na drodze. Banderowcy wymordowali także całą jego rodzinę, która mieszkała w Rzewuszkach.”* Franciszek Mikulski był dobrym przyjacielem tego sowieckiego „Procedatiela” i gdzieś się o tym mordzie, widocznie dowiedział.

Latem 1943 r., na jednej z ulic Włodzimierza Wołyńskiego spotkaliśmy Stanisława Uleryka, syna Władysława, który zaczął nam opowiadać o śmierci jego najbliższej rodziny, swoich przeżyciach i o samej ucieczce z Dominopola. Mówił wtedy tak: *„Od naszego domu było tylko około 500 m do wsi Dominopol. Tego tragicznego ranka 12 lipca 1943 r. moja mama i moje rodzeństwo: siostry i brat wyszli z domu i udali się razem na naszą łąkę, aby wspólnie grabić suche siano. Nasza łąka była jeszcze bliżej Dominopola, tylko około 400 m, właśnie w tym czasie złapali ich Ukraińcy i zamordowali, a ja po tym mordzie uciekłem tu do miasta. Zakwaterowałem się tymczasowo na ulicy Lotniczej i mieszkam tam z Marcelem*

Mikulskim i jego żoną.” Razu pewnego jednak, gdy Mikulscy wrócili do domu z miasta, zastali na podłodze ciało zamordowanego Staszka Uleryka. Mikulscy ustalili potem, że do domu, w którym mieszkali weszła wcześniej jakaś kobieta, w rzeczywistości miał to być przebrany za kobietę Ukraińiec, który korzystając z zaskoczenia poderżnął Staszceki nożem gardło. To się wydarzyło jeszcze w lipcu 1943 r. i było o tym głośno w mieście.

Kazimierz Sidorowicz: Mordy ukraińskie na ludności polskiej Dominopola słyhać było w kolonii Piński Most oddalonej tylko 1 km. Naocznym świadkiem tego był Polak Antoni Sienkiewicz, który po wojnie opowiadał mi osobiście, że w niedzielny poranek 11 lipca on i jego rodzina usłyszeli straszne, rozpaczliwe krzyki ludzkie dochodzące od Dominopola. Mówił mi: *Na podstawie głosów dochodzących od Dominopla, szybko domyśliliśmy się, że tam właśnie dzieje się coś straszego, dlatego ja i mój brat Kazimierz chcieliśmy natychmiast uciekać do Włodzimierza Wołyńskiego. Od samego rana widzieliśmy konie chodzące samopas po ogrodach oraz rozpuszczone bezwładnie krowy i inne bydło. Poza tym nie było widać także żadnych dymów z kominów wsi Dominopol. Po przeprowadzeniu tych obserwacji około południa upewniliśmy się, że ludność Dominopola została dziś w nocy i nad ranem napadnięta i wymordowana. Tymczasem z tamtej strony wciąż dochodziły pojedyncze już strzały, w tym czasie dobijano tych którzy cudownie ocalili z pierwszej najgwałtowniejszej fazy mordu. Gdy my wciąż z bratem nastawaliśmy na naszą rodzinę, aby uciekać porozumieliśmy się z nimi, że oni zostają natomiast ja z bratem uciekamy do miasta. W domu zostali wtedy mój tato i mama Sienkiewiczze oraz nasza siostra Leokadia lat ok. 30. Lodzia została, ponieważ chciała namówić do ucieczki także rodziców. Niestety, następnego dnia 12 lipca Ukraińscy mordercy napadli na naszą wieś Piński Most i wymordowali wielu Polaków, w tym moją najbliższą rodzinę. Zatem po Żydach, których ukraińska policja wymordowała jeszcze latem 1942 r. przyszła wreszcie kolej na Polaków, zamieszkałych w tej kolonii, wielu z nich zginęło:*

1. **Sienkiewicz Hipolit** lat ok. 35 oraz jego rodzeni bracia: Kazimierz lat ok. 25 i Antoni lat ok. 20.
2. **Zymon Stanisława** lat ok. 20 i Konstancja lat ok. 21. Tam było 3 rodziny Zymonów, ale już nie pamiętam imion.
3. **Hypś Stanisław** lat ok. 40 i jego rodzony brat Eugeniusz lat ok. 25.
4. **Żukowski Stanisław albo Antoni** lat ok. 35 i jego żona Antonina lat ok. 35.
5. **Dobrowolski**, tam było 3 rodziny Dobrowolskich, pamiętam że to były liczne rodziny, ale już nie pamiętam imion tych ludzi, ani ich wieku.”

Antoni Sienkiewicz opowiedział mi także, jak Ukraińscy nacjonałiści napadli wcześniej na polską wioskę Rudnia koło Kisielina i mordowali tam Polaków. To było tak: gdy wpadli do domu Leokadii Dobrowolskiej, która mieszkała tam u swego męża, jej udało się ująć z życiem. Tymczasem jej męża i całą rodzinę Dobrowolskich okrutnie zamordowano. W tym napadzie, który miał miejsce około 3 dni przed napadem na Dominopol, zginęła większość mieszkańców polskiej wsi Rudnia [gm. Kisielin, pow. Horochów]. Było to więc albo 08 albo 09 lipca 1943 r. Sienkiewicz mówił: *Opowiadała mi o tym moja rodzona siostra Leokadia, po tym jak schroniła się w naszym domu po wymordowaniu Rudni. Od naszego domu do Rudni było około 16 km, jak dziś pamiętam dzień kiedy wracałem od mojej siostry furmanką do domu. Mijali mnie wtedy na wielu furmankach uzbrojeni Ukraińcy, którzy właśnie jechali w kierunku Rudni. Kilka godzin później mieszkający tam Polacy, zostali brutalnie napadnięci i wymordowani. Antoni Sienkiewicz po wojnie osiadł na Zamojszczyźnie, ożenił się z dziewczyną w Szpikołosach i zamieszkał z żoną w Moroczynie.*

OFIARY LUDOBÓJSTWA W DOMINOPOLU

Antonina Sidorowicz: Z mojej rodziny zginęli wtedy:

1. **Moi kochani rodzice Maria** lat ok. 65 i **Aleksander** lat ok. 70 **Turowscy, oraz moje rodzone siostry: Ewa** lat ok.40 i **jej mąż Antoni Turowski** lat ok. 42, ich dzieci: Ryszard lat ok. 13, Roman lat ok. 10 i Romualda lat ok. 4.
2. **Druga moja rodzona siostra Anna** lat ok. 33 i **jej mąż Franciszek Iwanicki** lat ok. 35 oraz ich dzieci: Zbysław lat ok. 12 i Roman lat ok. 11.
3. **Trzecia moja rodzona siostra Stanisława** lat ok. 35 **oraz jej mąż Stanisław Iwanicki** lat ok. 30 i jedna dziewczynka ok. 1,5 roczku, imienia nie pamiętam.
4. **Czwarta moja rodzona siostra Eugenia** lat ok. 18, była jeszcze panną.
5. **Pierwszy rodzony brat Władysław Turowski** lat ok. 30 i **jego żona Weronika** lat ok. 25 i ich dzieci: Alina lat ok. 3 oraz drugie dziecko - niemowlę około 1 roczku, wydaje mi się, że to był chłopczyk.
6. **Drugi rodzony brat Adam Turowski** lat ok. 25 i **jego żona Władysława** lat ok. 20 oraz ich jedno dziecko-niemowlę 1 roczek, chłopczyk.
7. **Trzeci rodzony brat Edward** lat ok. 16, był jeszcze kawalerem.
8. Razem z Władkiem i Weroniką mieszkała moja **ciotka Katarzyna Majewska** lat ok. 60.

Wszyscy wyżej wymienieni, którzy należą do mojej najbliższej rodziny zostali prawdopodobnie bestialsko zamordowani wraz z innymi mieszkańcami Dominopola. Dziś, choć nie znam bezpośrednich świadków mordu na mojej rodzinie, jestem prawie całkowicie przekonana, że zamordowali ich tak jak innych, tej samej nocy, atakujący Ukraińcy. Jedno wiem na pewno, po tej strasznej nocy słuch po mojej rodzinie zaginął i do dziś nikt się nie odnalazł. Z całym prawdopodobieństwem, ich szczątki do dziś spoczywają w obrębie naszego podwórka. Pragnę w tym miejscu wyrazić gorące pragnienie przeprowadzenia, jeśli to tylko możliwe, ekshumacji doczesnych szczątków byłych mieszkańców Dominopola i uroczystego przeniesienia ich na pobliski cmentarz. Byłabym bardzo szczęśliwa gdyby na grobach stanął symboliczny krzyż i mogło być odprawione nabożeństwo za zmarłych.

W Dominopolu zginęli także z mojej rodziny:

9. **Pierwszy mój stryj Adolf Turowski** lat ok. 70 i **jego żona Maria** z domu Czyżewska lat ok. 65 oraz ich dzieci: syn Mikołaj lat ok. 40 i jego żona Dominika lat ok. 35 oraz ich troje małych dzieci, chłopcy i dziewczyny, imion niestety nie pamiętam. Mikołaj był gajowym w lesie Świnarzyńskim i mieszkał na skraju lasu.
10. **Córka Adolfa i Marii Adela Krawiec** lat ok. 35 i **jej mąż chyba Stanisław** lat ok. 38 oraz ich dzieci: córka Bronisława lat ok. 25, druga córka Maria lat ok. 20 oraz syn lat ok. 13.
11. **Drugi mój stryj Julian Turowski** lat ok. 60 i **jego żona Maria** lat ok. 55 oraz ich dzieci: córka Władysława lat ok. 30 i jej mąż Leon lat ok. 32, nie pamiętam ich nazwiska oraz ich dzieci: syn Antoni lat ok. 7
12. Syn Marii i Juliana Stanisław Turowski lat ok. 30, został zmobilizowany do armii polskiej jeszcze w 1939 r. i już więcej na Wołyń nie wrócił. Jest nam jednak wiadome, że dostał się do niewoli niemieckiej, tam przeżył wojnę i zamieszkał na zachodzie Polski, gdzie ożenił się i założył swoją rodzinę, już zmarł.
13. **Trzeci mój stryj Stanisław Turowski** lat ok. 45 i jego żona lat ok. 35 oraz ich troje dzieci. Najstarszy syn pojechał do Niemiec na roboty, chyba to było w 1942 r.
14. **Moja cioteczna siostra Antonina Karagin** lat ok. 23 i jej dwoje dzieci, imion nie pamiętam. Mąż Antoniny chyba Bolesław Karagin lat ok. 25, został przez Niemców zabrany na roboty jesienią 1942 r. Po wojnie wrócił jeszcze do Włodzimierza Wołyńskiego, ale co się z nim stało potem już nie wiem. Rodzice ciotki Antoniny umarli podczas pierwszej wojny światowej na tyfus.

W styczniu 2003 r. do moich rąk trafiła książka Władysława i Ewy Siemaszków. Bardzo się cieszę, że ktoś poświęcił tyle czasu i siły, aby upamiętnić losy kresowych rodzin, losy naszych rodaków na Wołyniu. Tak jak potrafię, pragnę dołączyć do grona tych osób, które od lat nadsyłając swoje wspomnienia i relacje piszą historię ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej w czasie II wojny światowej. Słuchając relacji dotyczącej Dominopola, pragnę z największą radością uzupełnić listę prawdopodobnych ofiar o tych, których jeszcze sobie przypominam.

Oto inne rodziny, które zapamiętałam:

1. **Bernacki** lat ok. 60 i jego żona lat ok. 55 i ich dzieci: chłopiec lat ok. 15 oraz żona syna Bernackiej po pierwszym mężu, Kazimierza Buczek lat ok. 25, żona pochodziła z Budek Osowskich. Rodzina Bernackich sąsiadowała przez miedzę z rodziną Szulakiewiczów.
2. **Buczek Paweł** lat ok. 50 i jego żona Maria lat ok. 40 oraz ich dzieci: córka Stanisława lat ok. 26 i jej mąż lat ok. 35. O nim wiem tylko, że pochodził z Polski. Pamiętam także, że Marcel Mikulski opowiadał mi, że cała rodzina Buczków została wymordowana w nocy z 10 na 11 lipca.
3. **Czereniuk Władysław** lat ok. 40 i jego żona Maria lat ok. 35 i ich dzieci: pierwsza córka Felicja lat ok. 18, druga córka Kazimiera lat ok. 13 i trzecia córka Zuzanna lat ok. 12. Władysław był Ukraińcem z Marcelówki, a ożenił się z Marią, Polką z Dominopola, z zawodu był gajowym w lesie Świnarzyńskim razem z Mikołajem. Z żoną zamieszkali w naszej wsi i zostali zamordowani w czasie napadu bandziorów.
4. **Czyżewska** lat ok. 70, wdowa, była moją ciotką i jej dzieci: Bolesław lat ok. 30 i Jego żona Petronela lat 27 z domu Uleryk. Nie pamiętam czy mieli dzieci, chyba jeszcze nie.
5. **Czyżewski Leon** lat ok. 30, był starym kawalerem, był moim bratem ciotecznym
6. **Czyżewski Władysław** lat ok. 32 i jego żona, chyba Zosia z domu Pruchacka lat ok. 30. Dziś już nie pamiętam czy mieli dzieci. Władysław był stryjecznym bratem Bolesława i Leona i mieszkali wszyscy w jednym domu. Żona Władysława była Czeszką z Kupiczowa.
7. **Dębniak** lat ok. 40 i jego żona lat ok. 32 i ich dużo dzieci, chyba siedmioro. Wszystkie dzieci były jeszcze małe, najstarsze miało około 15 lat, niestety imion nie pamiętam. Pan Dębniak przyjechał z Radomia na parę lat przed wojną i ożenił się z dziewczyną z naszej wsi.
8. **Dubczuk Aleksander** lat ok. 60 i jego żona Ukrainka i ich dzieci: córka Maria lat ok. 35 i jej mąż Wróbel lat ok. 35, nie pamiętam czy mieli dzieci. Druga córka Antonina lat ok. 25 i jej mąż Władysław Iwanicki lat ok. 23, nie pamiętam czy mieli dzieci.
9. **Kołodziej Jan** lat ok. 60 i jego żona Katarzyna lat ok. 55 i ich dzieci: córka Janina lat ok. 17, w 1942 r. Niemcy wywieźli ją na roboty. Obecnie Janina mieszka w Skierwienicach i ostatni raz odwiedziła mnie i męża w naszym domu w Siedliskach 20 czerwca 2002 r. Druga córka Emilia lat ok. 19, była panienką i została zamordowana, mówił mi o tym po wojnie Franciszek Mikulski.
10. **Krawczyk Stanisław** lat 37 i jego żona lat 30 i ich dzieci: córka Bronisława lat ok. 25, wyszła za mąż za Jana Turowskiego oraz druga córka Maria lat ok. 17, którą w 1942 r. zabrano do Niemiec na roboty.
11. **Magrecki Jan** lat ok. 45 i jego żona Cezara lat ok. 42 i ich dzieci: córka Helena lat ok. 18, panna i syn lat ok. 13.
12. **Mokrecki** lat ok. 55 i jego żona lat ok. 50 i ich dzieci: syn Sylwester lat ok. 20, kawaler, został zastrzelony przez Ukraińców, gdy wracał rowerem do wsi w poniedziałkowy ranek. Były jeszcze inne dzieci, chyba troje.
13. **Potocki Piotr** lat ok. 65 i jego żona chyba Kamila lat ok. 50 i ich dzieci: syn Hipolit lat ok. 25. Pierwsza córka Maria Żukowska lat ok. 30 i jej mąż Jan Żukowski lat ok. 35 i ich dwoje dzieci. Druga córka Potockich: Felicja Bydychaj i jej mąż Bolesław zamieszkali w Swojczowie, mieli trzech synów: w tym Piotr. Wiem, że synowie Bydychajów wyjechali do Zielonej Góry i jeszcze żyją. Trzecia córka Potockich Stanisława lat ok. 20 wyszła za mąż za Oleryka Stanisława lat ok. 25, mieli jedno dziecko, chyba dziewczynka lat ok. 2.
14. **Potocki Władysław** lat ok. 55 i jego żona Marianna lat ok. 37 i ich dzieci: pierwszy syn Antoni lat ok. 30 i jego żona, ich dzieci nie pamiętam, chyba nie mieli. Drugi syn Jan lat ok. 28 i jego żona, nie wiem czy mieli już dzieci. Trzeci syn Józef lat ok. 27 i jego żona, chyba Władysława lat ok. 25 i tu też nie pamiętam, czy mieli dzieci. Władysław Potocki był rodzonym bratem Piotra.
15. **Pruchacki Władysław** lat ok. 30 i jego żona Anna lat ok. 27 i ich troje małych dzieci: syn lat ok. 5 i dwie dziewczynki lat ok. 2 i 4. Pragnę potwierdzić, że w naszej wsi była rodzina o nazwisku Pruchacki, a nie Pluchacki, takich sobie nie przypominam. Władek był Czechem z Kupiczowa.
16. **Rakowska Pelagia**, wdowa lat ok. 64 i jej dzieci: córka Bożena Bielicka, wyjechała z mężem do Polski jeszcze przed wojną. Druga córka Maria wyszła za mąż do Turzyska i jej też nie było w wiosce w czasie pogromu. Trzecia córka Ewa lat ok. 22, wyszła za mąż za Stefana, nauczyciela w Dominopolu lat ok. 30, wydaje mi się, że dzieci jeszcze nie mieli. Ewa i Stefan zostali zamordowani w czasie rzezi.
17. **Uleryk Władysław** lat ok. 75 i jego żona lat ok. 70 i ich dzieci: dwóch synów: Stanisław lat ok. 30 i drugi lat ok. 25 oraz dwie córki, jeszcze panny lat ok. 19 i 17.
18. **Uleryk** lat ok. 65 i jego żona lat ok. 50 i ich dzieci: syn Stanisław Uleryk lat ok. 26 i jego żona Stanisława lat ok. 20 oraz ich jedno dziecko, chyba dziewczynka 1,5 roczku. Córka starych rodziców Uleryków Wiktoria lat 34 i jej mąż Andrys lat ok. 35 oraz ich małe dzieci, dziś już nie pamiętam ile i jak miały na imię.
19. **Wasilewski** lat ok. 55 i jego żona lat ok. 45 oraz ich dzieci: trzech synów oraz dwie córki. Pierwszy syn Feliks lat ok. 33 i jego żona Stanisława lat ok. 30, oni nie mieli dzieci. Drugi syn Antoni lat ok. 22, był jeszcze kawalerem. Trzeci syn Stanisław lat ok. 17, także kawaler. Pierwsza córka Ewa lat ok. 35 i jej mąż lat ok. 38. Ewa i jej mąż mieszkali w Budach Osowskich, gm. Werba. Druga córka Wasilewskich, miała na imię Stanisława lat ok. 24 i jej mąż Jan Szulkiewicz.

20. **Zawadzki** lat ok. 50 i jego żona lat ok. 43 i ich dzieci: syn Jan lat ok. 25 i córka lat ok. 25, ona wyszła za mąż do Turzyska. Jeszcze były małe dzieci, ale imion nie pamiętam. Zawadzki przyjechał do Dominopola jeszcze przed wojną z Radomia i tu się chyba ożenił z jedną z naszych dziewczyn. Jan Zawadzki, kawaler został zastrzelony w poniedziałkowy ranek na drodze, gdy rowerem wracał z zabawy do wsi.
21. **Zdończak Paweł** lat ok. 50 i jego żona lat ok. 40 oraz ich dzieci: dwie córki Bogusława lat ok. 19 i Urszula lat ok. 15. To były panny. Tej niedzieli w dzień napadu, Bogusława miała wziąć ślub z Hipolitem Potockim. Wiem także, że Zdończak przyjechał z Fajslawic w Chełmskiem.
22. W Dominopolu mieszkała też **jedna rodzina cygańska**: mąż lat ok. 25 i jego żona lat ok. 25 i ich dzieci, ale nie pamiętam jak mieli na imię i rodzice i dzieci. Wiem tylko, że Cygan był kowalem w naszej wsi. **Oni też zostali zamordowani.**

NA SMOLARNI

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Jeszcze w 1942 r. jako Polacy spokojnie spędzaliśmy święta Wielkanocne i Boże Narodzenie w Smolarni. Byliśmy w domu i śpiewaliśmy kolędy, jeszcze nie uciekaliśmy z naszych domów, aby nocować po stodołach, krzakach i innych miejscach. Nawet zima 1943 r. była jeszcze wyjątkowo spokojna, ale już na wiosnę, tuż przed świętami Zmartwychwstania Pańskiego, nasi nieliczni sąsiedzi, Ukraińcy zaczęli opowiadać niepokojącą historię. Zarówno kobiety jak i mężczyźni ukraińscy mówili tak : „*Bedą chodzić na Wielkanoc trzy Duchy i będą się pytać mieszkańców Smolarnii: Czy śpisz? Czy czuwasz? Jak śpisz to będziesz spał wiecznym snem, a jak będziesz czuwać, ukryjesz się, to będziesz żyć.*” My Polacy zaczęliśmy coś złego przeczuwać, było to dla nas niezrozumiałe i wydawało się być groźne. Już przeczuwaliśmy, że chcą pomordować Polaków, dlatego święta Wielkiej Nocy 1943 r. były już bardzo niespokojne, ale jeszcze nocowaliśmy w naszych domach. Ukraińcy mieszkający w naszej wsi, byli wyjątkowo spokojni, wyglądało że nic nam z ich strony nie zagraża.

Kazimierz Sidorowicz: Pamiętam, że na wiosnę 1943 r., jeszcze przed świętami Wielkiej Nocy naprawiałem płot w moim gospodarstwie. Wtedy podszedł do mnie znajomy Ukrainiec Jehor Krawczuk z Kohylna i zagadnął mnie tak: „*Robisz płot, a na co on ci będzie potrzebny?*” Zapytałem go wtedy: „*Czemu tak mówisz?*” A on wtedy do mnie: „*Pożyjesz to zobaczysz!*” Po tych słowach mnie opuścił i odszedł. Jego wypowiedź zrozumiałem jako zwiastun czegoś niedobrego, jakiegoś możliwego niebezpieczeństwa.

To były już bardzo niespokojne czasy, pamiętam jak w same święta Zmartwychwstania Pańskiego wracałem furmanką z kościoła ze Swojczowa razem z Antonim i Kazimierzem Sienkiewiczem. W pewnym momencie dojechaliśmy do rozwidlenia dróg, gdzie się rozdzieliliśmy, oni pojechali na Poczekajkę, a ja w kierunku Gnojna. Gdy odjechałem około kilkuset metrów usłyszałem za plecami strzały z broni ręcznej. Odwróciłem się i zobaczyłem jak konie braci Sienkiewiczów gwałtownie przyśpieszyły. Zorientowałem się, że strzelano prawdopodobnie do nich z lasu koło wioski. Nie zatrzymywałem się wcale ale pospiesznie pojechałem dalej. Wieś Poczekajka była mieszana, mieszkali tam zarówno Polacy jak i Ukraińcy. Antek i Kazik opowiadali mi później, już we Włodzimierzu, że Kazimierz został wtedy postrzelony w palec u ręki i w nogę. Obaj byli przekonani, że to Ukraińcy ich wtedy usiłovali zabić.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Po świętach Wielkanocnych, już nie nocowaliśmy w naszym domu, ale ukrywaliśmy się w przeróżnych miejscach: w stodołach, na strychach stajni, krzakach i w ogrodach. W swoim domu już baliśmy się nocować. Trzeba jednak podkreślić, że gdy gdzie indziej już mordowali w naszej wiosce jeszcze nie bili Polaków, ani w maju, ani w czerwcu, ani w lipcu. W tych miesiącach dochodziły nas tylko słuchy, od różnych ludzi, że inne wioski zostały już wymordowane, szczególnie tam daleko na wschodzie, koło Równego i Łucka. Pamiętam jak dziś tragiczny początek lipca 1943 r., moja żona i ja już 12 lipca w poniedziałek wiedzieliśmy, że nasza duża rodzina w Dominopolu prawie na pewno została brutalnie wymordowana przez Ukraińców. Od rana do południa tego dnia obsypywałem kartofle, w pewnym momencie przyszedł do nas mój sąsiad

ze Smolarni, który nazywał Krzysztof Krzyszcak i powiedział tak: „*Rzuć robotę, bo właśnie spotkałem dwóch uciekających chłopów z Dominopola, którzy krzyczeli do mnie tak: „Dominopol wybity, Ukraińcy mordują Polaków, uciekaj!”* Właściwie natychmiast robotę rzuciłem, gdyż bardzo się tym przejąłem i praca nie kleiła mi się do rąk.

Niedługo później zobaczyłem polskiego księdza, proboszcza ze Swojczowa Franciszka Jaworskiego, który przez naszą wieś uciekał do Włodzimierza. Spotkałem go naprzeciw mojego domu i rozpoznałem, ponieważ znałem go wcześniej z widzenia, poza tym właśnie ksiądz Jaworski udzielił sakramentu małżeństwa mi i mojej żonie Antoninie. Uroczystość miała miejsce 17 sierpnia 1941 r. przed cudownym obrazem Matki Bożej Swojczowskiej. Kapłan poznał mnie także i skinął na furmana Leona Rusieckiego, aby zatrzymał się na chwilę, następnie wyraźnie podniecony ostatnimi wydarzeniami rzekł do mnie: „*Uciekajcie, bo Dominopol już jest wyróżniony przez Ukraińców!*” Nic więcej nie dodał, ale szybko odjechał w kierunku na Włodzimierz Wołyński. Ksiądz Franciszek Jaworski przeżył wojnę i posługiwał wiernym przez długie lata w Puławach, spotkał go tam osobiście Jan Nowaczyński z Dominopola i wszystko mi potem powiedział.

Pamiętam także, jak ludzie w naszej wiosce Smolarni, żywo dyskutowali nad tym co się wydarzyło w ostatnich godzinach w niedalekim Dominopolu, ze Swojczowa było tam już tylko 4 km. Ludzie starsi nie chcieli wierzyć, że to Ukraińcy napadli i wymordowali Polaków. Wciąż wielu miało nadzieję, że nawet jeśli to byli rzeczywiście nasi sąsiedzi, to musiała to być jakaś jedna wielka, straszna pomyłka. To kolejny dowód jak nieprawdopodobna była myśl w naszych stronach o wzajemnym wyżynaniu między Polakami i Ukraińcami wśród ludzi starszych, pamiętających szczęśliwe, spokojne lata przedwojenne. Jednak młodzi nie byli już tak pewni, dlatego nie chcieli raczej słuchać tego co mówili starsi i masowo, całymi rodzinami opuszczali naszą wieś uciekając także do Włodzimierza Wołyńskiego. Uciekali na furmankach, jawnie, w biały dzień, jeszcze nikt ich nie zatrzymywał, nie utrudniał ucieczki, nie napadał, a tym bardziej nie mordował ludzi. Tymczasem starsze pokolenie Polaków, prawie wszyscy zostawali w domach, byli bowiem przekonani, że jeśli nawet doszłoby do wzajemnych walk polsko-ukraińskich, staruszków nikt nie będzie ruszał.

Wobec ostatnich wydarzeń także ja i moja żona Antonina zdecydowaliśmy się uciekać do miasta, gdzie stacjonowało wojsko niemieckie i było większe skupisko Polaków. Już we wtorek zapakowałem na wóz najpotrzebniejsze rzeczy i opuściliśmy Smolarnię udając się do Włodzimierza Wołyńskiego. Z nami uciekli wtedy: Sidorowicz Karol, jego córka Józefa i jej mąż Stanisław Łuszczak, Sawicki Władysław i jego siostra rodzona Maria. Do miasta było od nas tylko 6 km, więc zaledwie w godzinę czasu byliśmy już na miejscu. W naszym domu w Smolarni zostali wtedy: mój tato Sidorowicz Stanisław lat ok. 65 i moja mama Antonina lat ok. 60. We Włodzimierzu Wołyńskim zatrzymaliśmy się w domu u Sawickiego Karola na ulicy Horodelskiej i mieszkaliśmy tam do września 1943 r.

POGROM NA SMOLARNI

Kazimierz Sidorowicz: Pamiętam, że jeszcze w lipcu 1943 r. ludzie we Włodzimierzu zaczęli opowiadać, że Ukraińcy rozpuszczają propagandę, że mordy 11 lipca w całym powiecie włodzimierskim, to była jedna wielka pomyłka. Ukraińcy zapewniali przy tym wszystkich poprzez liczne ulotki wysyłane do Polaków, że podobna tragedia na pewno się nie powtórzy. Namawiali przy tym gorąco, aby Polacy spokojnie wracali na żniwa i zbierali pozostawione na polach zboża. Wielu Polaków dało się namówić i wrócili do swoich opuszczonych wcześniej domów, szczególnie ci, którzy zamieszkiwali na przedmieściach. I rzeczywiście w drugiej połowie lipca i na początku sierpnia, było w naszym powiecie wyjątkowo spokojnie. Osobiście, już w tym czasie nie wierzyłem w dobre intencje Ukraińców. Mimo to zdecydowałem się z żoną Antoniną i jeszcze z kilkoma innymi osobami, wrócić do Smolarni.

To było początek sierpnia, zatrzymaliśmy się w naszym domu u rodziców i przenocowaliśmy. Nasi rodzice byli zdrowi, także wioska prawie wcale do tej pory nie ucierpiała. W naszej wsi nie było do tej pory pogromu. Jednak już następnego dnia zauważyłem szczególną ruchliwość Ukraińców. Jeździli przez naszą wieś konno i wozami, uważnie się przy tym rozglądając na lewo i prawo. Szybko zorientowałem się, że to zwiad ukraiński i że szykuje się coś niedobrego. Gdy jeszcze przyszła do nas znajoma Ukrainka z naszej wsi Olga Maciocha i powiedziała: „*Uciekajcie, bo was Ukraińcy wybiją, a jak przeżyjecie to dajcie znać o sobie.*”, nie namyślałem się już wcale więcej. Zabrałem żonę i furmanką uciekliśmy jeszcze tego samego dnia, z powrotem do Włodzimierza Wołyńskiego. Inni Polacy zostali jednak w Smolarni. Także moi rodzice, choć ich gorąco ponownie namawiałem, aby z nami uciekali do miasta nie skorzystali z szansy ucieczki i zostali w domu. Będąc jeszcze w Smolarni, tuż przed naszą drugą ucieczką, spotkałem Ukraińca Piotra Marczuka z sąsiedniej koloni Barbarówka, który powiedział mi: „*Wracaj do Smolarni i rób żniwa, nic ci się nie stanie, ja do ciebie nic nie mam!*” Stałem wtedy obok domu mego szwagra Skawińskiego Bronisława. Gdy Marczuk na chwilę gdzieś odszedł, drugi Ukrainiec, który był razem z nim, a którego dobrze znałem i z którym się przyjaźniłem, powiedział mi w tajemnicy tak: „*Uciekaj bo zabiją!*” Zrobił przy tym bardzo wymowny znak, abym nikomu nie powiedział, że mnie ostrzegł. Ten jak się okazało, prawdziwy przyjaciel nazywał się Antoni Wrona i pochodził ze wsi Marcelówka. We Włodzimierzu zatrzymaliśmy się na ulicy Horodelskiej.

Groźne zapowiedzi i ostrzeżenia sprawdziły co do joty. Napad na naszą wieś miał miejsce w drugiej połowie sierpnia 1943 r. W pogromie brali udział Ukraińcy, którzy wymordowali prawie wszystkich Polaków, którzy zostali jeszcze w Smolarni. W naszej wiosce zginęli wtedy: moja mama Antonina lat ok. 60 i tato Stanisław lat ok. 65 Sidorowicze. Mój szwagier Skawiński Bronisław lat ok. 40 i jego żona Ludwika Skawińska z domu Sidorowicz, lat ok. 35 i ich ośmioro dzieci, w tym: Adam lat ok. 12, Mieczysław lat ok. 10, Antoni lat ok. 6, Jerzy lat ok. 5 i córki: Stanisława lat ok. 18, Izabela lat ok. 16, Maria lat ok. 7 i Aniela lat ok. 3. Zginęła też moja bratowa Marianna Sidorowicz lat ok. 35 oraz jej dwie córki: Regina lat ok. 10 i Leokadia lat ok. 6.

Polak Jan Gawroński, który też mieszkał w Smolarni opowiadał nam po wojnie, że do jego domu tuż przed mordem, przyszło dwóch Ukraińców: Władysław Radzik i Marczuk Piotr. Oni się dobrze z Jankiem znali, nawet przyjaźnili, dlatego przyszli do niego do domu i powiedzieli im tak: „*Zbierajcie się i uciekajcie, bo was Ukraińcy pobiją, bo już na Smolarnii pobili Skawińskich, Sidorowiczów, Sawickich i Puchniaczów. I was też wybiją!*” Janek Gawroński mieszkał w Smolarni tylko 3 domy od naszego domu. Później ci Ukraińcy nakazali im się zbierać i odprowadzili ich w stronę Włodzimierza, aż za ukraińską wioskę Poniczów.

Kazimierz Sidorowicz: Jednego dnia grałem we Włodzimierzu na akordeonie, wtedy przyszedł do nas Waclaw Jakubczak i poprosił, abym przestał grać, ponieważ właśnie przyjechała rodzina Gawronów, która twierdzi, że moja rodzina w Smolarni już została wymordowana. Na podstawie tych świadectw jestem przekonany, że moja rodzina została wymordowana przez ukraińskich nacjonalistów w czasie napadu na naszą wioskę, do dziś nie wiem jednak gdzie zakopano ich ciała. Po wojnie do naszego pierwszego domu w Białobrzegach pod Zamościem przyjechała znajoma Ukrainka Sabina Błaszczak i opowiedziała nam, jak zginęła moja najbliższa rodzina Skawińskich, mówiła tak: „*Moja rodzona siostra, żona Michała Marczuka, którzy mieszkali w Smolarni opowiedziała mi, jak zginęła rodzina twojego szwagra Skawińskiego. Marczukowa chodziła po rzezi do domu Skawińskich oglądać ciała pomordowanych Polaków, to co tam zobaczyła w świetle dziennym, wstrząsnęło nią do głębi, mówiła: „Bronisław Skawiński miał obcięte ręce w łokciach i nogi w kolanach, jego córka Staszka została przerwana piłką na pół, a inne osoby zostały porąbane siekierami. Napad miał miejsce w połowie sierpnia, już po żniwach, nocą.*”

Bronek już zakończył żniwa. Ukraińcy najpierw wyprowadzili wszystkich z domu, a potem wszystkich pomordowali na podwórku.” W tej masakrze zginęli także:

1. **Sawicki** lat ok. 65 i jego żona lat ok. 65. To byli Polacy, reszta rodziny Sawickich zdołała zbiec do miasta Włodzimierza.
2. **Puchniacz** lat ok. 60 i jego żona lat ok. 50 i ich dzieci: córka Józefa Puchniacz lat ok. 22. Druga córka lat ok. 24, była żoną młodego mężczyzny lat ok. 25, nie pamiętam czy mieli już małe dzieci.
3. **Wdowa Malidz** lat ok. 50. Jej córka Balbina zdołała uciec oprawcom i po wojnie mieszkała w Hrubieszowskiem. Syn wdowy Seweryn, zabrany został do Niemiec na roboty jeszcze w roku 1942. Wdowa Malidzowa pochodzi z Niedzielisk koło Zamościa, a do naszej wsi przyjechali przed wojną.
4. **Staruszka Perekupka** lat ok. 60, nie wiem co się stało z nią i jej rodziną, ale prawdopodobnie także oni zostali zamordowani.
5. **Malec Maria** lat ok. 60, zamordowana w swojej stodole.

Kazimierz Sidorowicz: Franciszek Krawiec, zięć rodziny Malec opowiadał mi w

sierpniu 1943 r. we Włodzimierzu Wołyńskim, jak zginęła babcia Perekupka i jego teściowa Maria Malec. To było tak, mówił: „Ukraińcy w czasie napadu na Smolarnię przyszli do domu rodziny Malec i zabrali ze sobą obie kobiety do stodoły. Tam je prawdopodobnie zamordowali, a następnie podpalając stodołę spalili też ciała. Następnego dnia miejscowi ludzie znaleźli dwa zwęglone ciała kobiet, osobiście widzieli to niedalecy sąsiedzi pomordowanych kobiet i wszystko opowiedzieli Franciszkowi Krawiec.

Kazimierz Sidorowicz: Pani Marczuk, żona Ukraińca Michała Marczuka widziała na własne oczy jak mordowano Polaków na Smolarni i wszystko opowiedziała Sabinie Błaszczak, mówiła tak: „*Wielu Polaków uciekało ze wschodu do Włodzimierza, przez naszą wieś Smolarnię i wtedy wpadali w ręce Ukraińców, którzy przygotowali zamaskowaną zasadzkę w naszej wsi. Następnie złapanych ludzi mordowali i wrzucali do jednej studni, która znajdowała się na podwórku Piotra Szalusia Polaka ze Smolarni. Ta studnia była głęboka na 25 m, conajmniej takiej głębokości kopano u nas studnie. Każdy beton miał metr wysokości, a potrzebnych było zwykle 25 takich betonów. Widziałam na własne oczy, że studnia została zapełniona ciałami pomordowanych ludzi do tego stopnia, że było widać nogi wystające wyżej pierwszego betonu.*” Po wojnie Szaluś osiadł w Siedliskach pod Zamościem. Sabina Błaszczak wyszła za mąż do Smolarni za Bolesława Błaszczak, a pochodziła z Bechety, wsi mieszanej polsko-ukraińskiej.

Ukraińska Sabina Błaszczak opowiadała mi także jeszcze inną bardzo znaczącą historię, mówiła tak: „*Pop ukraiński ze Swojczowa odprawił nabożeństwo w swojczowskiej cerkwi. Podczas tej mszy świętej powiedział w słowie skierowanym do zebranych wiernych, w ogromnej większości miejscowych prawosławnych Ukraińców takie słowa: „Wróćcie do domu, porzućcie to co macie zrobić, bo będziecie tego bardzo żałować!” Gdy tylko zakończył modlitwy przyszli po niego Ukraińcy i siłą wyprowadzili go z cerkwi. Razem z nim, zabrano wtedy także jego organistę i za chwilę, obaj zostali w niedalekim rowie rozstrzelani przez tych samych Ukraińców*”. Latem 1999 r. byłem na Ukrainie, w tym także w Swojczowie, interesowało mnie wiele rzeczy, zapytałem także miejscowego Ukraińca o sprawę zastrzelonego popa. Podczas tej rozmowy powiedział mi wtedy tak: „*Faktycznie, że wojsko ukraińskie zabiło Popa i Organistego!*” Z tego co jeszcze udało mi się wywnioskować, mogło to mieć miejsce w 1942 bądź już w 1943 r.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Franciszek Walczak mieszkał we wsi Ludmiłpol, on i jego rodzina byli Polakami. Ich dom był drewniany, ale bardzo ładny i stał na początku wsi od strony Kohylna. Przed domem stała duża, piękna figura Matki Bożej Niepokalanej. W czasie napadu na ich wioskę, z samego rana zauważył, że duża grupa Ukraińców na furmankach zbliża się do wioski od strony Kohylna. Szybko wyskoczył z domu, ukrył się w schronie pod stodołą i obserwował przez szparę co się będzie dalej działo. Już po chwili trzech Ukraińców wjechało na jego podwórko, właśnie w tym czasie z domu na

podwórko wyszła jego żona Gustafa lat ok. 22 z malutkim dzieckiem na ręku. Wyraźnie nie wiedziała jeszcze co jej grozi. Gdy trzech Ukraińcy, każdy uzbrojony w siekiere, zobaczyli ją przed domem, szybko pojмали ją i wtedy jeden z nich powiedział do niej tak: *"O jak ty się ładnie ubrałaś. Twoja suknia będzie dla mojej żony."* Drugi dodał zaraz: *"Twoje buty będą dla mojej żony."* Wtedy trzeci z nich powiedział stanowczo: *"Prędeż bij!"* Ukraińiec uderzył najpierw siekiere dziecko, które Gustka trzymała w rękach. Niemowlę wypadło jej z rąk i upadło ogłuszone na ziemię, jednak ożyło i zaczęło raczkować. Jeden z oprawców powiedział zaraz: *"Dobij dziecko, bo ożyło!"* Ukraińiec uderzył jeszcze raz siekiere i tym razem skutecznie. Zaraz potem zarabali Gustafę, żonę Franciszka, który to wszystko widział i słyszał ze schronu.

Przebieg tej zbrodni Walczak opowiadał nam osobiście we Włodzimierzu Woł. jeszcze w sierpniu 1943 r. zaraz po jego przybyciu do miasta. Z tego co nam opowiadał, zorientowaliśmy się, że napad na wieś Ludmiłpol był w pierwszych dniach sierpnia 1943 r. Franek mówił nam także, że rozpoznał znajomych chłopów Ukraińców z Kohylna, jego zdaniem to oni mordowali polskich mieszkańców Ludmiłpola. Gdy zakończył się napad i wszystko ucichło, pod wieczór na podwórko przyszedł jego rodzony brat z żoną, którzy zdołali uciec z ich domu i ukryć się w okolicznych zbożach. Gdy znaleźli ciała zamordowanej Gustki i dziecka rozmawiali ze sobą o tej tragedii. Ich głosy usłyszał wtedy półprzytomny z rozpaczony Franek i wyszedł ze schronu. Po chwili uciekli wszyscy razem do Włodzimierza, gdzie tymczasowo zamieszkali razem.

Kazimierz Sidorowicz: Waclaw Kuźmiński opowiadał mi po wojnie, u niego w domu, że Ukraińcy wymordowali rodzinę Ewy oraz większość mieszkańców wioski Budy Ossowskie, wielu Polaków. Wydaje mi się, że to było w tym samym czasie co napad na Dominopol, czyli 11 lipca. Wacek mieszkał w Budach Osowskich, niedaleko Dominopola, przeżył wojnę i osiadł w Dobromierzycach w Hrubieszowskim, 3 km od Hostynnego.

Pan Kazimierz: „Ojciec Stanisława Nalepko był mieszkańcem naszej kolonii Siedliska, już nie żyje. Po wojnie opowiadał mi swoje przeżycia z Wołynia. Ich rodzina mieszkała aż koło Równego. Razu pewnego Nalepko jechał furmanką i wtedy spotkał go znajomy Ukraińiec, który ostrzegał go w następujący sposób: *„Uciekajcie wszyscy ze wsi do miasta, bo ma być napad na Polaków i mają was wszystkich wybić!”* Nalepko zaraz zabrał swoją rodzinę i jeszcze tego samego dnia uciekli wszyscy do Równego. Tymczasem jeszcze tej samej nocy, zaraz po ich wyjeździe Ukraińcy napadli na ich wieś i wszystkich mieszkańców pomordowali, a budynki spalili.” Inny mieszkaniec naszej wsi Siedliska Mieczysław Pilczuk opowiadał mi w kwietniu 2003 r., że widział studnię na Wołyniu, całą napelnioną dziećmi pomordowanymi przez Ukraińców w czasie krwawych wydarzeń podczas ostatniej wojny.

MOJA PRZYJAŹŃ Z BOLESŁAWEM ROCHEM

Kazimierz Sidorowicz: Bolesława Rocha znałem od najmłodszych lat dzieciennych. Mieszkaliśmy od siebie tylko ok. 1 km, on na Zastawiu w Kohylnie, a ja w Smolarni. Razem bawiliśmy się i paśliśmy krowy na łąkach. Razem z nami krowy paśli Niemcy i Ukraińcy, przed wojną było spokojnie, przyjaźniliśmy się i nie było między nami wrogości. Nie przypominam sobie, aby powstały między nami jakieś większe różnice tylko dlatego, że ten jest Polakiem, a ten Ukraińcem. Bywałem też często na Zastawiu, w rodowej siedzibie Rochów. Gościłem tam u Bolka w domu, pamiętam dobrze jego mamę Annę, która zawsze miło mnie przyjmowała. Do szkoły nie chodziliśmy razem, Bolek uczył się w Kohylnie, a ja w Barbarówce. Gdy staliśmy się młodzieńcami, zaczęliśmy chodzić na zabawy, aby dobrze się zabawić, spotkać przyjaciół oraz potańczyć z dziewczynami. Już wtedy dobrze grałem na akordeonie dlatego zapraszano mnie na uroczystości weselne. Grałem zarówno w domach polskich jak i ukraińskich, grałem też na zabawach i potańcówkach. Dzięki temu poznałem

wielu ludzi w okolicy, miałem wielu przyjaciół, jak się później okazało uratowało to życie moje i mojej żony.

W tamtych latach nie przypominam sobie jednak, ani jednego przypadku śpiewania przez Ukraińców wrogich piosenek na Polaków. Bolek Roch też lubił chodzić na potańcówki, najczęściej bawiliśmy się w Teresinie, Kohylnie i Swojczowie. Z miejscowymi Ukraińcami też żył w zgodzie, często spotykał się z nimi w Kohylnie, szczególnie przy cerkwi prawosławnej. Cerkiew była piękna, drewniana i stała na górze otoczona lipami. Tam, najczęściej latem zbierała się młodzież ukraińska, śpiewali wtedy głośno piękne pieśni, a Bolek razem z nimi. Lubili śpiewać i potrafili, czasami nawet w Smolarni można było usłyszeć, jak śpiewają. Wesoły był to naród i chętny do śpiewania. Rodzina Rochów zresztą podobnie, Zastwie było bliżej Smolarni, dlatego stamtąd jeszcze wyraźniej słyhać było, jak często śpiewali głośno i radośnie. Szczególnie święta kościelne czy to katolickie, czy prawosławne były obchodzone uroczyście i radośnie. Pamiętam jak młodzież na Boże Narodzenie chodziła z gwiazdą, która pięknie świeciła, wspólnie i Polacy i Ukraińcy, aby kolędować we wszystkich domach, które zaprosiły kolędników do środka. A trzeba powiedzieć, że w tamtych czasach nie było domów, które były zamknięte dla radosnej Kolędy. Ja też chodziłem śpiewać kolędy Bogu na chwałę w Barbarówce, Smolarni, Kohylnie i na Zastawiu, ale chodziłem z Polakami. W Kohylnie mieszkała polska rodzina Szymanków, spokrewniona z Rochami.

W 1939 r. nie zabrali nas do wojska, obaj byliśmy jeszcze za młodzi. Nie przypominam sobie, aby Ukraińcy w Smolarni i w okolicy atakowali Polaków tuż po klęsce wrześniowej, albo żeby wywieszali ukraińskie sztandary i flagi. Gdy przyszli Sowieci było podobnie, nie zmobilizowano nas, choć wielu innych wzięli w "kamasze". Życie toczyło się dalej swoim dotychczasowym rytmem, właściwie nic się u nas nie zmieniło. Ruski trzymał mocną dyscyplinę, jak ktoś podskoczył za wysoko, to szybko jechał na Syberię i koniec. W naszym lesie Kohyleńskim od września 1939 r. Sowieci rozmieścili dwie duże dywizje sowieckie. Tam było wszystko: kawaleria, piechota, artyleria, a porządku pilnowały rozstawione straże sowieckie.

Po wkroczeniu Niemców 22 czerwca 1941 r. na nasze ziemie, w tartaku i okolicach powstał obóz jeniecki dla byłych żołnierzy sowieckich. Nie wiem jak ci żołnierze byli tam traktowani, ale na pewno nie było im tam dobrze. Słyszałem, że w końcu wybuchł tam bunt jeńców, po którym wielu z nich zdołało zbiec do lasu. 35 z tych zbiegów szukało później pomocy i schronienia w Kohylnie i ukraińskich chłopów. Tymczasem Ukraińcy ich wszystkich skrytobójczo pomordowali, ludzie opowiadali o tym nie tylko w naszej wsi Smolarni, ale po całej okolicy. Po przyjsciu Niemców, Ukraińcy zaczęli wstępować do policji ukraińskiej, pozostającej w służbie niemieckiej. Najbliższy posterunek takiej policji był we wsi Gnojno i w siedzibie gminy w Werbie. Polacy w tym czasie o służbę u Niemców nie zabiegali.

NA ZASTAWIU

Kazimierz Sidorowicz: Bolesław Roch mieszkał w tym czasie i gospodarzył wciąż na Zastawiu, już się tak często nie spotykaliśmy. Było to zresztą już częściowo utrudnione, od 1942 r. przy drodze Kohyleńskiej stała warta ukraińska. Stanisław Roch ożenił się z córką Sierocińskiego i gospodarzył wraz ze swym teściem. Sierociński to był Polak, który wziął tę gospodarzkę od byłego osadnika wojskowego. Bolesław Roch miał liczną rodzinę, rodzice Anna i Antoni zmarli jeszcze przed II wojną światową, starszy brat Aleksander ożenił się z Agnieszką z domu Cichosz i zamieszkał w domku pod lasem ok. 1,5 od Zastawia. Michał Roch ożenił się jesienią 1942 r. z Marią z domu Tymoczko i zamieszkali w Ludmiłpolu, około 3 km od Zastawia. Michalina Roch wyszła za mąż za Wacława Szymanek i zamieszkali w Kohylnie, ok. 1 km od Zastawia. Józefa Roch wyszła za mąż za Franciszka Pieczonka i zamieszkali w Tartaku, w lesie Kohyleńskim, ok. 1,5 km od Zastawia. Marian Roch ożenił się

z Anną z domu Rusiecka i zamieszkali w Teresinie, ok. 3 km od Zastawia. W domu na Zastawiu został Stanisław Roch i jego żona Józefa z d. Walczak (pierwsze nazwisko po rodzicach Józji było Bąk, Józia została adoptowana przez rodzinę Walczaków i przez nich wychowana, dlatego była z domu Walczak) oraz rodzeństwo Bolesław i Anastazja Roch.

Bolesław Roch opowiadał mi osobiście, jak wiele razy widział Ukraińców, którzy spotykali się w okolicach wsi Kohylno, pod lasem gdzie na łące mieli ćwiczenia wojskowe. Tam właśnie organizowali swój oddział partyzancki. Jego zdaniem tam też planowali swoje akcje i przeprowadzali swoje narady. To było tuż, niedaleko gospodarstwa Aleksandra Rocha. Bolek mówił mi, że Ukraińcy nazywali to miejsce: „Łużok” od nazwy niedużego jeziora, które tam kiedyś było. Ćwiczenia te odbywały się już latem 1942 r. i trwały nieprzerwanie do lata 1943 r.”

W tych czasach robiło się już coraz bardziej niebezpiecznie. Bolesław Roch opowiadał mi jak pewnego dnia prawdopodobnie mało brakowało, a stał by się jedną z pierwszych ofiar ukraińskiej nienawiści, mówił tak: *„Pewnego dnia wybrałem się w odwiedzinach do mojego kolegi Ukraińca, z którym razem wypasaliśmy krowy. A ten w pewnym momencie zaczął usilnie namawiać mnie, abym poszedł z nim do obory i mu pomógł, mówił do mnie tak: „Bolek chodź ze mną do obory, tam mi coś przetrzymasz!” Gdy tylko tak powiedział, jego matka, która widocznie już się domyślała intencji swojego syna, zaczęła go błagać tymi słowami: „Nie rób tego, nie rób tego, bo ja tego nie przeżyję!” A ten mój kolega wtedy, do swojej matki w ten sposób rzecze: „Job twoju mać idź do Cerkwii się pomodlij!” Ona jednak nie dawała za wygraną i powiedziała zaraz do mnie z przejęciem: „Bolek idź do domu, Bolek idź do domu!” Kilka razy tak do mnie mówiła. W tym momencie nie bardzo zdawałem sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa, ale na prośbę mamy mojego kolegi Ukraińca wróciłem do domu.”*

Kazimierz i Antonina Sidorowiczowie: Michał Roch był więc jednym ze starszych braci Bolka, mieszkał z żoną Marią w polskiej wiosce w Ludmiłpolu u swoich teściów. Na kilka dni przed pogromem w Dominopolu, nocą na ich podwórko przyjechało furmanką kilku uzbrojonych Ukraińców, którzy zapukali do drzwi. Zapytani po co przyszli z miejsca oświadczyli, że chcą rozmawiać z Michałem. Czasy były już bardzo niespokojne, a atmosfera między Polakami i Ukraińcami wydawała się być coraz bardziej napięta i niebezpieczna. Dlatego Michał nie ufał Ukraińcom, którzy w kupie, uzbrojeni i do tego nocą przyszli po niego. Nie namyślając się wiele skoczył przez okno na tyłach domu, aby uciec niezauważony. Tutaj jednak ustawiony był Ukrainiec, który z miejsca go zaatakował, próbując uniemożliwić ucieczkę. Wywiązała się gwałtowna walka, Michał zdołał odebrać Ukraińcowi broń i zbiegł przez ogród i pole na Zastawie. Na drugi dzień Michał wsiadł na koń i pojechał do sztabu UPA w Wołczaku. Opowiadał mi po wojnie, że zdecydował się pojechać do Sztabu UPA, ponieważ obawiał się poważnie o życie swoje i swojej najbliższej rodziny. Tak naprawdę, właściwie nie wiedział co się dzieje i chciał ostatecznie zajścia wyjaśnić. Kiedy konno dojechał do Swojczowa spotkał znajomego Polaka Bolesława Dyleckiego, który zapytał z miejsca dokąd się wybiera. Michał opowiedział spieszenie, co się poprzedniego dnia wydarzyło w Ludmiłpolu i wyjaśnił dlaczego wybiera się do Wołczaka. Gdy Dylecki poznał cel jego podróży zaraz powiedział do niego tak: *“Wróć do domu. Dziś w nocy wybili Dominopol, gdzie ty jedziesz?”* Michał na te straszne wieści tak się przejął, że Dylecki musiał mu pomagać wsiąść z powrotem na konia, sam nie był w stanie. Potem prostą drogą wrócił do domu. Michał osobiście mówił mi, że wrócił ze Swojczowa prosto do domu. W tym momencie przysłuchująca się pani Antonina również potwierdziła: *„Michał Roch wrócił ze Swojczowa do domu i nie dojechał wcale do lasu Świniarzyńskiego”*, jak zeznał pan Roman Szymanek.

Kazimierz Sidorowicz: Pragnę podkreślić, że zarówno Bolesław jak i Michał Roch zapewniali mnie osobiście, że Ukraińcy zabrali ze sobą kilku mężczyzn z Ludmiłpola, których później zamordowano w okolicy Zarudla, tej samej nocy, gdy przyszli po Michała i tej samej nocy, kiedy wymordowano mieszkańców Dominopola. Wszystko wskazuje więc na to, że akcja ta została wcześniej dobrze przygotowana i centralnie sterowana. Ponieważ

sytuacja w naszej swojczowskiej parafii stawała się każdego dnia coraz bardziej niebezpieczna, także na Zastawiu gorąco dyskutowano, czy aby nie czas już uciekać do miasta. Zdania były oczywiście podzielone, niełatwo było zostawić dorobek całego życia i tak po prostu odejść, każdy liczył się z tym, że gdy wróci do domu ponownie, zastanie same gołe ściany, trwała okrutna wojna. Poza tym warunki życia w mieście też nie były łatwe, panował tam powszechny głód, bardzo barkowało żywności i również było bardzo niebezpiecznie. Ostatecznie zapadła wspólna decyzja by zdać się na Bożą Opatrzność i jednak uciekać nocą do Włodzimierza Woł., gdyż nic nie jest ważniejsze nad życie.

NISZCZĄCE DZIEŁO KOHYLEŃCÓW

Kazimierz Sidorowicz: Waclaw Szymanek opowiadał mi osobiście, że gdy on i jego rodzina zdecydowali się na ucieczkę do Włodzimierza Wołyńskiego, umówili się w tej sprawie z rodziną Rochów z Zastawia. Była już noc, wtedy dopiero Wacek zorientował się, że nie może znaleźć krótkiej broni, którą gdzieś nieopatrznie ukrył. Chodziło o pistolet, który zostawił w skrzynce sieczkarni. Ponieważ cenny czas nieubłaganie uciekał i byli już spóźnieni, Wacek nakazał żonie i dzieciom, aby już wyruszyli do Aleksandra Rocha "Oleśka". W tej sytuacji wszyscy szczęśliwie opuścili Kohylno i niedługo byli już w domu Aleksandra, tam cierpliwie czekali na Wacka, ale jego wciąż nie było. Tymczasem on też, widząc uciekający czas postanowił dołączyć do oczekujących na niego. Gdy szedł już z Kohylna, natknął się na znajomych Ukraińców z Kohylna, którzy gdy go poznali, chcieli go zatrzymać i zawołali do niego: "*Czekaj Szymanek, porozmawiamy.*" On jednak miał złe przeczucia i rzucił się do ucieczki. Ukraińcy zaczęli go ścigać, jednak Wacek zdołał im uciec i szczęśliwie dotarł do domu "Oleśka". Stamtąd przedostali się szczęśliwie łąkami do Włodzimierza Woł., dotarli tam już następnego dnia rano.

Bolek opowiadał, że po ucieczce do Włodzimierza nawiązał kontakt z policją polską, która otrzymała broń od Niemców. To były początki zawiązującej się polskiej „Samoobrony”. Ich działalność polegała na tym, że często wypuszczali się z Włodzimierza, jako uzbrojony oddział polski, aby bronić polskich przedmieść miasta przed atakującymi Ukraińcami. Niekiedy wychodzili też dalej w teren, aby zdobyć dla siebie, swoich rodzin i najbardziej potrzebujących choć trochę bardzo potrzebnej żywności. W przeludnionym mieście panował dokuczliwy głód.

Pamiętam także bardzo dobrze, że około 16 czy 17 lipca 1943 r. spotkałem na przedmieściach Włodzimierza Woł. Grzegorza Rocha, który był stryjem Bolesława Rocha i także mieszkał ze swoją rodziną na Zastawiu. Rozmawialiśmy wtedy o obecnej, groźnej sytuacji i o ostatnich wydarzeniach w naszych stronach, szczególnie w Dominopolu i w innych miejscach mordów ukraińskich na Polakach. Powiedział mi wtedy tak: "*Tak będzie Ukraina, jak mi klaki na nogach wyrosną!*" Pokazywał przy tym na swoje stopy. Od ludzi dowiedziałem się później, że Grzegorz i jego rodzina uciekli z Zastawia zaraz po pogromie Dominopola. Już około 12 może 13 lipca byli w mieście, gdzie zatrzymali się u jakiegoś Polaka. W tym czasie, panowała też ogólne przekonanie wśród ludności polskiej, znających dużą rodzinę Rochów, że już po nich. Mówiono, że jeśli nawet jeszcze żyją, to i tak ich "Kohyleńcy" nie wypuszczą. Ukraińcy z Kohylna uchodzili za szczególnie mocno związanych ze swoją mową i tradycjami ukraińskimi stąd przekonanie, że już po Rochach i Szymankach.

Niezwykle ważnym faktem dla dobrego rozeznania pełnego obrazu sytuacji na Zastawiu w Kohylnie, w tych tragicznych dniach jest pewna historia, którą Michał Roch opowiadał mi po wojnie. Otóż mówił mi tak: „*Ukraińcy z Kohylna: Chwedor, Osep i Prikip Kozaczuk przynajmniej dwukrotnie na Zastawiu nachodzili rodzinę Grzegorza Rocha. Za pierwszym razem przyszli na podwórko Grzegorza Rocha, który w tym czasie krowy doił w oborze. Grzegorz usłyszał ich głosy i zaczął patrzeć z ukrycia co będą robić. Ujrzał trzech Kazaczuków z siekierami i usłyszał ich rozmowę: "Nie ma nikogo, bo mieszkanie zamknięte."*

Chwilę postali, a potem zabrali się i wrócili do wioski. Za drugim razem, gdy Grzegorz dawał jeść w oborze bydłu, trzech tych samych braci Kozaczków przyszło do niego i zaczęły rozmowę. Spotkanie przybrało bardzo niebezpieczny obrót, gdyż jeden z nich postanowił tam zarząbać siekierą Grzegorza na śmierć. Podniósł już siekierę do góry, aby nią uderzyć, gdy Grzegorz tak zaczął prosić: "Ty chcesz mnie bić, to my karmiliśmy was Ukraińców podczas ostatniej wojny, gdy brakowało wszystkiego. Żywiliśmy was abyście przeżyli, a ty chcesz mnie dzisiaj bić." Bandyta zawahał się i po chwili opuścił spokojnie siekierę, posmutniał, jakby się trochę zmieszał, nic więcej nie mówiąc, odeszli skąd przyszli." Tę historię opowiadał mi zarówno Michał jak i Bolesław Roch.

Bolesław Roch na rok przed swoją śmiercią, mówił mi jak zabito jego bliską rodzinę, jego kuzynów. Powiedział, że staruszka Ukrainka z Kohylna, którą nazywano Koteluczka mówiła rodzinie Rochów w Kopyłowie pod Hrubieszowem, że Rochów z Zastawia Ukraińcy wieźli wozem do Kohylna, aż pod samą cerkiew i tam powiesili ich na lipach przy cerkwi. Ponieważ mieszkała w Kohylnie tuż przy drodze widziała i słyszała, jak Ukraińcy wieźli rodzinę Grzegorza Rocha na miejsce ich przeznaczenia. Żona Grzegorza, Rochowa prosiła w głos Matkę Bożą, aby ich uratowała od niechybnej śmierci. Prosiła, a nawet głośno krzychała: "*Ludzie ratujcie!*". Koteluczka poznała, że ci którzy ich wieźli na miejsce stracenia to byli miejscowi Ukraińcy z Kohylna. Opowiadała to Stanisławowi Roch, który z kolei opowiedział to Bolkowi Roch. Stara Koteluczka nazywała się tak po mężu, Ukraińcu Honoprzym Kotyluku.

Kazimierz Sidorowicz: Dobrze mi znany Franciszek Kuszpit opowiadał mi w Siedliskach, już po wojnie o losach jego matki, mówił tak: „*Moją mamę Rozalię Kuszpit, która mieszkała na Zastawiu zamordował sąsiad Ukrainiec z Kohylna.*” Z tego co mi wtedy mówił, mordercą by ten Ukrainiec który mieszkał w Kohylnie sam tylko z matką, a tragedia miała miejsce gdzieś w sierpniu 1943 r. Franciszek dowiedział się o tym od pewnej Ukrainki, którą odwiedził w Kohylnie. Według tego co mi opowiadał, było to tak: do naszych stron szybko zbliżał się front, Sowietów mocno napierali, Niemcy potrzebowali wielu ludzi do kopania okopów dla potrzeb wojska niemieckiego. Zabrali więc z domów wielu Polaków, w tym także Franciszka Kuszpit. Robotnicy zakwaterowani zostali we wsi Oseredek, tam jednego dnia Franciszek poprosił jednego Niemca, może mu dobrze zapłacił, aby udał się z nim do jego rodzinnego domu na Zastawiu. Niemiec zgodził się i poszli, jednak gdy przyszli na miejsce ich domu już nie było, został rozebrany, nigdzie też nie mógł odnaleźć swojej matki. Wtedy udali się do ukraińskiej wsi Kohylno i tam właśnie dowiedział się w domu jakiejś ukraińskiej kobiety, że jej matkę zabił Ukrainiec z Kohylna. W tej sytuacji zrozpaczony wrócił do obozu w Oseredku. Mord na wdowie Rozalii, musiał być gdzieś w sierpniu 1943 r.. [data błędna, w 1943 r. Niemcy nie brali ludzi do kopania okopów, to było 1944 r.]

Mąż Rozalii Kuszpit był z zawodu kowalem i umarł jeszcze przed wybuchem wojny w 1939 r. Jego syn Franciszek poszedł w ślady ojca i też był z zawodu kowalem. Franciszek Kuszpit wziął za żonę Krystynę i mieszkali razem ze swoją mamą Rozalią na Zastawiu, aż do dnia w którym razem z żoną, pod wpływem grożącego niebezpieczeństwa uciekli do Włodzimierza Wołyńskiego. Mama została w domu na Zastawiu, nie chciała uciekać do miasta i prawdopodobnie zginęła. Franciszek miał jeszcze rodzzonego brata, miał na imię chyba Fabian, nie wiem co się z nim stało.

Michał Roch opowiadał mi także, że był po pogromie w Kohylnie, gdzie spotkał Ukrainca, który był sąsiadem Drabików. Czy to była ta sama wyprawa, czy inna, już nie pamiętam. W każdym razie jest mi wiadomo, że takich i podobnych wypraw było dużo i to w różne miejsca. Właśnie ten Ukrainiec opowiedział Michałowi jak została zamordowana cała ich rodzina. W sierpniu 1943 r., w niedzielny ranek przyszli do Drabików banderowcy i weszli do domu. Po chwili zaczęli mordować tych, którzy byli w domu. W chałupie zabili matkę i dwie córki, tymczasem dwaj synowie spali w stodole. Gdy Ukraińcy wykryli ich kryjówkę, jednego chłopca zabili na miejscu, a Józek rzucił się do ucieczki przez pola. Nie zdołał jednak uciec i gdy go dopadli to go też zabili. Prawdopodobnie miał przed śmiercią prosić bandytów, aby mu darowali życie. Michał dowiedział się także, że ciała

pomordowanych Ukraińcy wrzucili do lochu, kopca z drewnianych kołków na kartofle, który znajdował się na miedzy Drabików i Żyda Moszko Bejdera, potem wszystko zawalili. Jeśli chodzi o rodzinę Brzozowskich, to prawdopodobnie ta rodzina się zachowała. Brzozowski był co prawda Polakiem, ale jego żona była Ukrainką, istnieje więc pewna nadzieja, że mogli zostać podczas tego samego pogromu oszczędzeni.

W naszej okolicy głośno było także o śmierci Jana Rocha, który według tych ludzkich spekulacji w końcu lipca 1943 r. udał się nieco „podchmielony dla odwagi” do wsi Poczekajka. Dowiedział się bowiem, że Ukraińcy zabrali z domu ze sobą jakiegoś Polaka z furmanką i jego końmi i jak dotąd gospodarz ten nie wrócił. Jan, który znał w okolicy trochę Ukraińców, miał nadzieję, że jak się za tym Polakiem wstawi, to może nawet uratuje mu życie. Jednak jak poszedł, tak już więcej nie wrócił i on i ten chłop, słuch zaginął i po jednym i po drugim. Ludzie w naszych stronach sądzili więc, że obaj zostali zamordowani. Faktem jest, że w tamtych trudnych czasach, kogo Ukraińcy zabrali ze sobą na forszpan to już prawie na pewno nie wrócił.

Bolesław Roch opowiadał mi także niekiedy po wojnie swoje przeżycia, których doświadczył podczas pobytu w polskiej samoobronie we Włodzimierzu Woł., mówił tak: *„Latem 1943 r. Ukraińcy zaatakowali przedmieścia Włodzimierza Woł., podchodzili do miasta od strony wioski „Zimno”. W pewnym momencie, można było nawet przypuszczać, po nasileniu walk i naporze atakujących, że usiłowali nawet wedrzeć się do środka i zdobyć Włodzimierz Woł.. To im się jednak nie udało, gdyż Samoobrona do spółki z Niemcami stawiała mocny opór. Wywiązała się gwałtowna walka, straty rosły szybko po obu stronach, w końcu daliśmy rezunom porządnego łupnia.”* Opowiadał mi także, że osobiście brał udział w walkach polsko-ukraińskich w okolicach Porycka, Sokala i w Iwaniczach, z tego co pamiętam były to starcia zwycięskie dla Polaków, w których Ukraińcy ponieśli duże straty. W Iwaniczach Bolek był żołnierzem polskiej Samoobrony, którą dozbroili Niemcy. Potem jednak oddział się usamodzielniał i walczył na Zamojszczyźnie, z Ukraińcami i Niemcami. Po reorganizacji oddziału w lesie Bolek przeszedł do Batalionów Chłopskich i walczył pod dowództwem „Rysia”. Opowiadał mi, że jedna z akcji w której brał udział osobiście, była wymierzona w „Czarnych” którzy nasiedleni zostali w czasie wojny w Siedliskach. Armia Krajowa zdołała ustalić, że mieszkańcy współpracują aktywnie z Niemcami, dlatego dwukrotnie puszczała wieś z dymem.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Opatrzność Boża sprawiła, że krótko po wyzwoleniu Zamojszczyzny przez Armię Czerwoną latem 1944 r., nowa władza Ludowa wyznaczyła wieś Siedliska i małą kolonię na polach jako miejsce osadnictwa dla byłych mieszkańców Wołynia. Jedna działka na kolonii Siedliska trafiła się i mojej rodzinie i tak zamieszkaliśmy z żoną Antoniną na pięknym Roztoczu. Było nam tu dobrze bowiem większość naszych sąsiadów to Kresowiaczy, także duża rodzina Rochów osiedliła się we wsi Siedliska i na kolonii. Naszymi sąsiadami byli Aleksander, Michał, Bolesław Roch, Wacław i Michalina Szymenek z d. Roch oraz Władysław i Anastazja Garbaty z d. Roch wraz z rodzinami. Jak to w życiu bywało różnie, poza pracą często spotykaliśmy na przeróżnych świętach i rodzinnych przyjęciach, byliśmy ze sobą bardzo życzliwi, także przez doświadczenia ostatniej krwawej wojny. Na Wołyniu każdy z nas zostawił małą część siebie, było o czym mówić, było i o czym powspominać.

Lata zatem upływały nam w mozolnej pracy, ale radości też nie brakowało w Siedliskach i na kolonii. Nasi ludzie zawsze lubili biesiadować, śpiewać, tańczyć, jak to na Wołyniu niegdyś bywało. Utalentowany muzycznie grałem na akordeonie jak przed wojną i z grupą muzyków byliśmy zapraszani na wesela oraz spotkania okolicznościowe, przy przygrywać do tańca. Z żoną Antoniną żyliśmy pobożnie i choć nie mieliśmy własnych dzieci odnaleźliśmy się w społeczeństwie, smutek i zgryzota nie znajdowała miejsca w naszym domu. Kochaliśmy z żoną wspólną, rodzinną modlitwę różańcową, a będzie nam ona towarzyszyła nieodmiennie przez ponad pół wieku, rodząc autentyczne owoce miłości i przebaczenia. W ostatnich latach naszego życia wiele radości wniosło radio Maryja, którego

śluchaliśmy codziennie i z którym trwaliliśmy na żywej modlitwie. Szczególnie kochaliśmy koronkę o Bożym Miłosierdziu w godzinie trzeciej, odmawialiśmy ją nawet w dniach kiedy odwiedzał nas pan mgr historii Sławomir Roch, odmawialiśmy koronkę wszyscy razem.

Bolesław Roch do końca życia pozostał naszym przyjacielem i odwiedzał nas dość często, gościliśmy, rozmawialiśmy i przeżywaliśmy raz jeszcze nasze wspólne doświadczenia z Wołynia i z lat powojennych. Na rok przed swoją śmiercią przyszedł do nas, a ja w pewnym momencie wspomniałem moją i mojej żony serdeczną koleżankę Felicję Dolecką. Zwierzyłem się Bolkowi, że nie wiem do dziś, co się z nią właściwie stało, słuch po niej zaginął. Wtedy Bolek zaskoczony zapytał mnie znacząco: *"To ty nie wiesz, została brutalnie zamordowana przez Ukraińców w Gnojnie!"* I zaczął nam opowiadać, jak to się stało, mówił tak: *"Z posterunku policji ukraińskiej w Gnojnie przyjechało do domu Felicji w Swojczowie, dwóch znanych jej ukraińskich policjantów. Powiedzieli do Felicji tak: "Zbieraj się odwieziem cię do Włodzimierza Wołyńskiego, bo tutaj Ukraińcy cię zabiją!"* Ona już w tym czasie wiedziała o tragedii jaka wydarzyła się niedawno w polskim Dominopolu. *Zaufała Ukraińcom, zebrała pospiesznie swoje rzeczy do walizek, wsiadła z nimi na furmankę i odjechali. Zamiast jednak do Włodzimierza Wołyńskiego pojechali w trójkę na posterunek policji ukraińskiej w Gnojnie. Tam ją gwałcili, a w końcu zaciosali kolka i wbili jej ten pał w błonę poślizgową. Tak wbili ją na pał, zupełnie jak za okrutnych czasów ich bohatera narodowego Bohdana Chmielnickiego."* Z tego co nam dalej mówił zorientowałem się, że Bolkowi powiedział o tym Stanisław Czop. Staszek, który już umarł, był Polakiem ze wsi Niedzieliska. Ożenił się jeszcze przed wojną z Ukrainką z Siedlisk [we wsi Siedliska przed wojną mieszkali Ukraińcy, do dziś zachował się prawosławny cmentarz poukraiński] koło Zamościa i przystał ściśle do Ukraińców. W lecie 1943 r. był komendantem policji ukraińskiej właśnie w Gnojnie, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński. Na własne oczy widział jak zamordowano Felicję Dolecką ze Swojczowa. Po wojnie zamieszkał ponownie w Siedliskach i właśnie tam opowiedział swoje świadectwo Bolkowi Roch.

Kazimierz Sidorowicz: Po wojnie jeździłem na Ukrainę, gdy byłem tam w 1999 r. odwiedziłem też Swojczów. Nie ma nawet śladu po naszej pięknej, murowanej świątyni, którą Ukraińcy w sierpniu 1943 r. wysadzili w powietrze, podkładając miny. Byłem też w Domiopolu, a raczej w tym miejscu, gdzie kiedyś Dominopol istniał. Dziś na tym miejscu rośnie las, właśnie tam gdzie kiedyś mieszkała moja żona Antonina, druga część wioski, ta bliżej Rewuszek, wyglądała wtedy jak nie uprawiane pole.

Kazimierz i Antonina Sidorowiczowie: Dziś mam już 83 lata, a moja żona Antosia 87 i nasze życie powoli zbliża się ku przejściu do Życia Wiecznego. Naszym ogromnym pragnieniem jest, aby jeśli to będzie tylko w przyszłości możliwe, przenieść szczątki naszych rodziców oraz sióstr i Ich najbliższych rodzin na poświęconą ziemię, na katolicki cmentarz. Razem z moją żoną Antoniną z serca przebaczymy tym, którzy wymordowali bestialsko naszych rodziców i nasze rodziny, jednak gorąco prosimy, aby ogromne męczeństwo naszych bliskich i szeroko rozlana danina ich krwi nie zostały zapomniane i zmarnowane przez nowe, młode pokolenia naszych rodaków. Niech to ogromne cierpienie będzie przestrożą dla wszystkich, szczególnie dla Polaków i Ukraińców, aby nie powtórzyły się znów Kainowe dni, gdy historia ponownie zatoczy się kołem.

W zakończeniu naszych rodzinnych i wołyńskich zarazem wspomnień pragniemy razem z żoną Antoniną serdecznie i gorąco podziękować panu mgr historii Sławomirowi Roch za pracę nad upamiętnieniem losów naszych rodzin Sidorowiczów i Turowskich oraz całej naszej parafii Narodzenia NMP w Swojczowie. Jest to dla nas dar bezcenny, na tamtej Ziemi zostali nasi przodkowie, rodzice, bliscy i znajomi, tam pozostały nasze najpiękniejsze wspomnienia. Jakże nie być dziś wdzięcznym, gdy ktoś pragnie ocalić to wszystko od zapomnienia, przekazać następnym pokoleniom Polaków. Dlatego całym sercem błogosławimy temu dziełu i dalej będziemy pomagać, by udało się doprowadzić je szczęśliwie do końca. Nasza Kresowa Rodzina zasługuje na to, by do grona już opisanych i

upamiętnionych, dołączyła jeszcze jedna piękna i bohaterska Karta, bardzo polska i nade wszystko męczeńska Wspólnota, parafia katolicka w Swojczowie.

Powyższa relacja, którą osobiście podyktowaliśmy panu Sławomirowi Roch w naszym domu w Siedliskach, od stycznia do maja 2003 r., została nam przeczytana po przepisaniu, a zawarte w niej treści, potwierdzamy z żoną własnoręcznymi podpisami:

Antonina Sidorowicz

Kazimierz Sidorowicz